Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Odyniec. Z serji nagrodzonej I nagr. na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 34 (846) 1 GRUDNIA 1936 R.



Cyranka nad kanałem. Z serji, nagrodzonej II nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. A. Dobrski.

ORZECZENIE JURY KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO.

W dniu 17 listopada b. r. odbyło się posiedzenie Jury Konkursu Fotograficznego „Łowca Polskiego" w składzie, ogłoszonym wcześniej, a mianowicie PP.: Karol Czampe, Walenty Garczyński, Józef Gieysztor, Stanisław Kamocki i Władysław Zabiełło.

Na konkurs nadesłało swe prace 25 osób w ogólnej ilości 234 sztuk odbitek fotograficznych.

Nagrody przyznano:

1) Godłu „Bekas" — za 25 fot. — I nagrodę zł. 150. — Autor: Włodzimierz Puchalski — Lwów.
2) „ „W. S. P." — za 13 fot. — II nagrodę zł. 100. — Autor: Andrzej Dobrski, Mańkiewicze.
3) „ „Sójka" — za 20 fot. — III nagrodę zł. 75. — Autor: Antoni Wiśniewski, Racot.
4) „ „Prus" — za 4 fot. — IV nagrodę zł. 50. — Autor: Józef ks. Jabłonowski, Przyborów.

Odznaczenia honorowe otrzymali:

5) Godło „Poluję Leicą" — za 8 fot. (pejzaże tatrzańskie) — żeton złoty. Jury wyraża jednocześnie prośbę do autora o skierowanie zainteresowania na zdjęcia bardziej łowieckie. Autor: dr. Antoni Marjan Wieczorek, Zakopane.
6) „ „Samotny" — za 17 fot. — żeton srebrny. Autor: Tadeusz Malicki, Zakopane.
7) „ „Dzik" — za 5 fot. — żeton srebrny. Autor: Robert Eisenbraun, Łódź.
8) „ „Jastrzębiec" — za 5 fot. — żeton srebrny. Autor: Michał Borowski, Wilno.
9) „ „Karpaty" — za 3 fot. — żeton srebrny. Autor: Władysław Burzyński, Perehińsko.
10) „ „Ikonta" — za 9 fot. — żeton srebrny. Autor: Konstanty Komierowski, Korzeniste.
11) „ „Tramp" — za 7 fot. — żeton srebrny. Autor: Stanisław Bebenkowski, Mielnik.
12) „ „Ryś" — za 1 fot. — żeton bronzowy. Autor: Edward Woynicki, Wilno.

Prócz tego wszyscy nagrodzeni i odznaczeni autorowie prac konkursowych otrzymywać będą bezpłatnie „Łowiec Polski" w ciągu 1937 roku.

KONFERENCJA W SPRAWIE WYSTAWY MIĘDZYNARODOWEJ W BERLINIE.

Uroczystość ku czci św. Huberta w Niemczech była jednocześnie zjazdem przedstawicieli szeregu państw z Prezesem M. R. Ł. p. Ducrocq na czele, zaproszonych do Brunszwiku celem omówienia organizacji i warunków Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej, którą projektują urządzić w Berlinie na jesieni przyszłego roku. Lokalne warunki, jakie w danej chwili panują w Niemczech, są nader pomyślne, gdyż na czele łowiectwa stoi człowiek o szerokiej kompetencji i władzy, Prezes Ministrów, gen. Hermann Goering, który jednocześnie jest najwyższą władzą w lasach państwowych, Wielkim Łowczym Rzeszy



Wieńce 18-staka, ubitego przez p. A. Morawskiego w Perehińsku 23.IX.1936 r. Fot. E. Koch.

Niemieckiej i w ręce którego Führer Niemiec powierzył całą gospodarkę kraju na okres 4 lat. Jest on też osobą stojącą na czele organizacji tej wystawy. Wielki Łowczy Rzeszy w przemówieniu swem, o którem wspomina p. A. Śliwiński w art. p. t. „Uroczystości ku czci św. Huberta w Niemczech" w Nr. 33 „Łow. Pol." z dn. 20.XI. r. b., wyraźnie i dobitnie podkreśla, że Niemcy właśnie z powyższych terytorjalnych i osobowych względów mają największe możliwości stworzenia takiej wystawy międzynarodowej, którąby dała łowiectwu całego świata wielkie korzyści naukowe i zrozumienie, że łowiectwo jest b. ważnym czynnikiem gospodarczym w każdem państwie i że jest ono, przy umiejętnem kierowaniu, równocześnie filarem, dźwigającym na sobie ochronę lasów, fauny i flory. Jednocześnie premjer zaznaczył, iż pójdzie na rękę wszystkim narodom, biorącym udział w wystawie, która pod jego kierunkiem musi być tak stworzona, aby mogła śmiało nosić miano olimpjady łowieckiej całego świata. Energiczna działalność przygotowawcza organizacji niemieckiej i forma zaproszenia spowodowała, iż P. Z. S. Ł. wydelegował ze swego grona trzech przedstawicieli: Maurycego hr. Potockiego, Dyrektora Andrzeja Śliwińskiego i Inż. Hermana Knothego, którzy dnia 1 listopada wyjechali via Berlin do Brunszwiku.

Delegacja polska po przyjeździe do Berlina udała się do Ambasady Polskiej, gdzie otrzymała pierwszą instrukcję od Zastępcy Ambasadora p. Radcy S. Lubomirskiego, albowiem p. Ambasador Lipski był już na zjeździe w Brunszwiku.

Dnia następnego t. j. 2 listopada wieczorem delegacja polska przybyła do Brunszwiku, zatrzymując się w hotelu Deutsches Haus, gdzie dla wszystkich gości zagranicznych były zarezerwowane apartamenty. Zastaliśmy już przedstawicieli 13 państw z prezesem Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Paryżu p. Ducrocq na czele. Wśród gości znajdował się również p. Ambasador Lipski. Po dokonaniu ceremonjału wzajemnego zapoznania się przedstawicieli poszczególnych państw oraz krótkiej biesiadzie udała się polska delegacja na konferencję z p. Ambasadorem Lipskim, podczas której p. Ambasador oznajmił i podkreślił, że zależy mu z bardzo wielu względów na tem, by Polska wzięła czynny udział w wystawie i żeby się wysiliła na imprezę godną siebie. Delegacja polska oświadczyła, że Polska może podołać temu zadaniu.

Międzynarodowa konferencja ogólna, w której wzięli udział przedstawiciele wszystkich reprezentowanych na zjeździe państw, dotycząca ram zasadniczego programu, regulaminu, oraz warunków wystawy, odbyła się dopiero dnia 4-go listopada w godzinach od 14 do 17. Z toku obrad widocznem było, że Niemcy są faktycznie skłonni do wszelkich ustępstw i udogodnień dla obcych państw, tak pod względem technicznym, jak i finansowym.

Na konferencji tej ustalono, co następuje:

a) Wystawa ma się odbyć w Berlinie w wielkich halach wystawowych na terenie Grunwaldu.

b) Wystawa ma zobowiązywać łowiectwo nietylko w postaci trofeów, lecz ma uplastycznić tę dziedzinę z punktu widzenia gospodarczego, hodowlanego, historycznego, naukowego, sztuki (malarstwo, rzeźba, muzyka i fotografja), sportowego (narzędzia myśliwskie, sposoby polowania, stroje, obyczaje oraz tradycje myśliwskie).

c) Wystawa będzie trwała od pierwszego listopada do pierwszego grudnia 1937 r.

d) Ostateczny termin zgłaszania eksponatów ustalono na dzień 1 lipca 1937 r.

e) Ostateczny termin dostarczania eksponatów ustalono na dzień 1 września 1937 r.

f) Wszystkie państwa, które pragną wziąć udział w Międzynarodowej Wystawie w Berlinie, są zobowiązane zgłosić swego komisarza rządowego, odpowiedzialnego za wszystkie sprawy, tyczące się tej wystawy, a z którym komitet lokalny niemiecki może bezpośrednio korespondować — do 15 grudnia b. r.

g) Pomieszczenie stoisk, przeznaczone dla każdego z państw, będzie dopiero wówczas ściśle ustalone, kiedy w przybliżeniu zostaną podane ilości przeznaczonych na wystawę eksponatów.

h) Koszty transportu eksponatów w granicach Niemiec, jak również asekurację od wszelkich ryzyk do pewnego maksimum, bierze na siebie Rzesza Niemiecka.

i) Wszelkie ułatwienia dewizowe dla organizatorów i zwiedzających przyrzekli przedstawiciele Komitetu Niemieckiego.

j) Premjowane będą eksponaty tylko wiadomego

pochodzenia — czyli te, o których wiadomo jest gdzie i kiedy zostały zdobyte.

k) Jury będzie wybrane z grona międzynarodowego.

l) Rygory przy premjowaniu eksponatów, stosowane na pokazach trofeów łowieckich w Niemczech, zostały w silnym stopniu zredukowane, a mianowicie: 1) nie są koniecznie potrzebne całe szczęki górne z uzębieniem, ani też szczęki dolne — przy jeleniowatych, 2) wielkość kości czołowej przy kwalifikowaniu do nagród nie odgrywa roli, jednakże wielkość jej będzie brana pod uwagę przy ważeniu, 3) eksponaty, pochodzące ze sztuk przedwcześnie odstrzelonych, będą również premjowane, 4) osobno będą premjowane wieńce jeleni górskich i nizinnych, 5) również brane będą pod uwagę i różniczkowane trofea pochodzące ze zwierzyny, hodowanej w zwierzyńcach i podlegającej przeto wpływom sztucznego dokarmiania (wielkość obszarów, uznanych za zwierzyniec nie została jeszcze ustalona — pozostawiono to do uznania na dalszych konferencjach międzynarodowych).

m) Eksponaty będą wystawiane terytorjalnie, t. j. każde państwo przedstawi plan regjonalny swych trofeów, a nie tak, jak dotychczas się stosowało, że poszczególni myśliwi urządzali swoje stoiska bez względu na miejsce zdobycia trofeów.

n) Formułki, wg. których eksponaty będą premjowane, nie zostały ustalone na tej konferencji. Metody, jakiemi jury będzie się posługiwało przy pomiarach eksponatów, zostaną uzależnione od wyboru ich na specjalnym zjeździe Komisji dla opracowania formułek oceny trofeów Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Paryżu, który odbędzie się w Pradze w maju 1937 r. w myśl postanowienia międzynarodowego zjazdu, odbytego w Warszawie 1934 roku.

Przebieg uroczystości, urządzonej ku czci św. Huberta oraz gościnność, z jaką przyjmowano uczestników konferencji, opisał w wyżej wspomnianym artykule p. A. Śliwiński.

INŻ. HERMAN KNOTHE.

FILOZOFJA CZASÓW OCHRONNYCH.

Niech tytuł artykułu nie przerazi czytelnika. Będzie w nim mowa o rzeczach bardzo codziennych i bardzo praktycznych. Nie znajdzie w nim czytelnik na lekarstwo przydługich rozważań teoretycznych, t. j. tego wszystkiego, co w mowie potocznej nazywamy filozofją i czego skwapliwie unikamy.

Dotąd w naszem ustawodawstwie łowieckiem dział ustanawiający czasy ochronne dla poszczególnych gatunków zwierzyny jest uważany za dział podstawowy, którego dokładna znajomość, znajomość niemal że „na wyrywki", obowiązuje każdego kulturalnego myśliwego. Dotąd ustanawianie czasów ochronnych jest uważane przez bardzo wielu myśliwych hodowców za wszechstronnie skuteczny regulator rozmnoży zwierzyny. Posiwiali w praktycznych trudach, poniesionych w kniei i dla kniei, myśliwi tworzą rozmaite kolegja i na zebraniach tych kolegjów, dyskutując nad potrzebą ochrony jakiegoś zagrożonego gatunku zwierzyny, rozstrzygają kwestję w sposób najprostszy i ich zdaniem najskuteczniejszy. Wprowadzają nowy lub t. zw. „dodatkowy" czas ochronny dla tej zwierzyny. Jeżeli na takich kolegjach zapadają uchwały, dotyczące innych poza czasami ochronnemi środków zaradczych, to środki te noszą najczęściej piętno pobożnych życzeń, w rodzaju propagandy i innych sposobów, bliżej co do ich realizacji nieokreślonych.

Istnieje, powiedziałbym, jakaś ufna i bezkrytyczna wiara w potężną zbawienność czasów ochronnych. Tkwi zapewne w tej wierze zupełnie zrozumiałe u człowieka kulturalnego przekonanie, że skoro władza państwowa ogłosi przepis prawny choćby w tak skromnej dziedzinie, jak np. ochrona wiewiórki, to przepis ten, jako mający sankcję najwyższego aktu państwowego — ustawy, musi być bezapelacyjnie przez wszystkich przestrzegany. Ale jeszcze inny element, element mniej idealny, a więcej oportunistyczny, jest przyczyną tak chętnego uciekania się naszych areopagów łowieckich do pochopnego ustanawiania czasów ochronnych. Da się on streścić, jak następuje: zaproponowaliśmy władzom czas ochronny, władze go ustanowiły, reszta do nas nie należy... Jest to t. zw. linja najmniejszego oporu, a wyrażając się stylem biblijnym — umycie rąk.

Ale przypuśćmy na chwilę, że żyjemy w znacznie idealniejszych warunkach, niż te, w których nasze łowiectwo walczy o lepszą przyszłość. Przypuśćmy na chwilę, że mamy zdyscyplinowaną, przywykłą do poszanowania prawa ludność, że posiadamy karną, zgraną armję myśliwych, wśród których niema miejsca dla warcholstwa, że dysponujemy szeroko rozbudowaną siecią egzekutywy łowieckiej (np. w postaci oddanej pod rozkazy centralnego dowództwa, a zorganizowanej powiatami i gminami, zaprzysiężonej straży łowieckiej).

Wyobraźmy sobie na chwilę takie idealne warunki, o które zresztą walczymy wytrwale, i zastanówmy się w jakiej mierze i dla jakich gatunków zwierzyny potrzebne są wogóle czasy ochronne w *takich warunkach*.



Borsuk opuszcza norę. Fot. A. Wiśniewski.

Przedewszystkiem musimy sobie uświadomić, że czasy ochronne, jakkolwiek wedle nomenklatury urzędowej ustanawiane są „dla zwierzyny", to jednak pisane i przeznaczone są dla ludzi. Ludźmi, którzy tu wchodzą w rachubę, będą tylko kłusownicy, albowiem w opisanych idealnych warunkach myśliwy, który wyłamie się z pod nakazów swej organizacji łowieckiej, tem samem stanie się kłusownikiem.

Kłusownictwo istniało, istnieje i istnieć będzie. Osobiście wyobrażam sobie istnienie kłusownictwa przy najbardziej nawet idealnej organizacji łowieckiej, jeno, że przy takiej wymarzonej organizacji, jaką wyżej opisałem, kłusownictwo stanowi odsetek nikły i dla zwierzyny niegroźny. Otóż, wracając do głównego pytania, zastanówmy się, jak dalece same

czasy ochronne stanowią hamulec dla szkodliwych praktyk kłusowniczych?

By jasno i wyraźnie odpowiedzieć na to pytanie, należy po pierwsze przeprowadzić podział zwierzyny na gatunki mające znaczenie handlowe i na gatunki niemające znaczenia handlowego; po drugie — nieustannie pamiętać, że za polowanie w cudzym obwodzie łowieckim kłusownik ponosi karę znacznie surowszą, niż za naruszenie przepisów o czasach ochronnych. Jeżeli chodzi o taką zwierzynę, jak sarny, zające i kuropatwy, to w regjonach zachodnich, zwierzyny tej mamy bardzo dużo, gdzie stanowi ona poważny dział obrotu handlowego, czasy ochronne stanowią niewątpliwie pewien hamulec dla kłusownictwa.



Ppłk. Garbiński z wieńcem ubitego byka na rykowisku 1936 r.

Znaczenie tego hamulca można uzmysłowić w słowach następujących: gdybyśmy mieli gwarancję, że pp. kłusownicy będą kłusować tylko w okresie dozwolonego polowania, to już to jedno byłoby dużą pociechą dla hodowców, no i dla zwierzyny. Ponieważ jednak nietylko nie mamy tej gwarancji, lecz odwrotnie — mamy wszelkie podstawy do obaw, że kłusownicy kłusują najintensywniej w czasie ochronnym, tedy musimy się cieszyć, że dzięki czasom ochronnym kłusownicy mają utrudnione życie przez wielkie ryzyko spieniężania zrabowanej zwierzyny w okresie trwania czasu ochronnego. Ale wciąż pamiętajmy, że dzięki surowym przepisom art. 270 naszego Kod. Karnego grozi im zawsze cięższa kara za samo kłusownictwo (naruszenie cudzego prawa polowania), niż za polowanie w czasie ochronnym*).

Wszystko wyżej powiedziane dotyczy jednak tylko kłusowników i tylko zwierzyny, mającej znaczenie handlowe. Bo jeżeli mówić będziemy o zwierzętach rzadkich, jak łoś, bóbr, ryś, pardwa i t .p., to przekonamy się, że czasy ochronne nie mają tu większego znaczenia. Przejdźmy pokolei wyliczone wyżej przykładowo „zwierzęta rzadkie".

Łoś. Praktyka ostatnich lat kilkunastu jest najlepszym dowodem, że czas ochronny ustanowiony dla łosia miał sam przez się znaczenie wręcz nikłe. Wszyscy znamy na pamięć główne ostoje tego zwierza w Polsce i wszyscy rozumiemy doskonale, że pięknych rezultatów rozmnoży łosia w tych ostojach nie zawdzięczamy ustanowieniu czasu ochronnego. Nie mam wątpliwości, że np. ks. Karol Radziwiłł odstrzeliłby w swych łowiskach tę samą ilość byków, chociażby czasu ochronnego wogóle nie było i że piękne wyniki hodowli łosi w jego łowisku nie byłyby wcale gorsze. To samo dotyczy innych ostoi łosi.

W tem miejscu przewiduję jeden zarzut, zarzut pozornie bardzo poważny. Wszystko to bardzo pięknie — zarzucić mi mogą — ale wszak łosie nie są przywiązane do pewnej ostoi, mogą ją opuścić, a wtedy — co? Odpowiem na to, że przedewszystkiem takie opuszczenie przez łosia jego naturalnej ostoi jest rzadkie (sam znam po wojnie jeden tylko taki wypadek, przyczem zachodziło podejrzenie, że łoś przywędrował do nas z za granicy państwowe), po drugie — istnienie zakazu ustawowego jest dla kłusownika rzeczą doskonale obojętną, o ile nie spodziewa się on zbyt wielkiego ryzyka przy spieniężaniu skłusowanej sztuki.

Bóbr. Przed paru laty na łamach „Łowca P." p. Kamocki podał ze wszech miar ciekawą relację p. prez. Świętorzeckiego, dotyczącą historji ochrony bobra w pewnem łowisku. Z historji tej wynika, że bezwzględny ustawowy zakaz polowania na bobrv wyszedł na złe — bobrom, gdyż właściciel łowiska, niezainteresowany w rozmnoży tego cennego i rzadkiego zwierzątka, poprostu ucieszył się, gdy ostatni bóbr został zabity przez kłusowników i gdy skończyły się nieustanne wizyty i reklamacje powołanych i niepowołanych „ochroniarzy". Tę samą historję powtarza p. prez. Świętorzecki w skróceniu w swych „Podstawach łowiectwa" (str. 114). W stosunku więc do bobra, zdaniem czołowych naszych znawców łowiectwa, czas ochronny odegrał rolę poprostu ujemną, gdyż zniechęcił kulturalnych myśliwych, a kłusownictwu nie potrafił zapobiedz.

Ryś. Szanowni czytelnicy pamiętają może, że nieraz głosiłem zasadę, iż wszystko, co żyje w naszych kniejach, powinno mieć najkrótszą choćby ochronę. Od zasady tej nie odstępuję dziś bynajmniej, pragnę tylko podkreślić, że chodziło mi w niej raczej o wyrażenie pewnej ideologji prawdziwego myśliwego, niż o względy praktyczne. Znając bowiem nieźle knieje wschodnie, w których ryś przebywa, stwierdzić mogę na podstawie kilkoletniej obserwacji, że czas ochronny ustanowiony dla rysi niczego wprawdzie nie pogorszył, ale i niczego nie poprawił w naszym rysiostanie. Dziwić się temu nie należy. „Plagi rysi" (w przeciwieństwie do „plagi wilków") na szczęście nie mamy: zarówno dla chłopa-hodowcy, jak i dla chłopa-kłusownika ryś jest zupełnie obojętny. Myśliwy natomiast poluje na rysie wyłącznie w miesiącach zimowych, kiedy 1 — $1\frac{1}{2}$ miesiąca wielkiej różnicy nie stanowi i kiedy zresztą o pozwolenie na odstrzał nawet po zamknięciu okresu polowania nie jest tak trudno...

Pardwa. Dla kłusownika pardwa nie stanowi większego interesu, a zresztą gdyby nawet stanowiła, to specjalnie odludne i dzikie miejsca jej pobytu utrudniają wszelki dozór i kontrolę. Pozatem od właścicieli łowisk pardwich nigdy nie słyszałem utyskiwań na kłusowników. Pardwę wyniszczają rozmaite inne czynniki, ale nie kłusownictwo... Pardwa stanowi przedmiot zainteresowań wyłącznie myśliwych i przeważnie myśliwych kulturalnych, a dla takich myśliwych czas ochronny stanowi raczej pewną wskazówkę orjentacyjną, a nie czynnik regulujący w sposób istotny rozmnożę tego wciąż rzadszego ptaka...

*) Pomijam tu znaną „paradoksalną" interpretację art. 270 K. K. dokonaną przez prof. Makarewicza, a obszernie omawianą przed paru laty na łamach „Łowca P.". Mam zresztą wrażenie, że interpretacja ta nie ostoi się w praktyce naszych sądów. *(Przyp. aut.).*

Rozmyślnie snułem rozważania moje po uprzednim przyjęciu założenia, że żyjemy w jakichś wymarzonych, dalekich od naszej rzeczywistości, idealnych warunkach łowieckich, gdzie myśliwi są zdyscyplinowani, gdzie kłusowników jest procent znikomy, gdzie silna organizacja łowiecka ma mocną egzekutywę.

Otóż w takich warunkach idealnych czasy ochronne odgrywają rolę pewnego hamulca w stosunku do kłusownictwa i tylko jeżeli chodzi o zwierzynę handlową. W stosunku do pozostałej zwierzyny (rzadszej), jako też — w stosunku do myśliwych czasy ochronne żadnego znaczenia nie mają. Przepraszam — mają znaczenie pewnych założeń ideologicznych, pewnych znaków orjentacyjnych, pewnych, zmiennych zresztą, „prawd" z dziedziny biologji zwierzyny. Mają wreszcie znaczenie pewnego rugulaminu porządkowego, który jednak niekoniecznie ma być ustawą, lub rozporządzeniem policyjnem, t. j. aktem woli państwowej, ale — naturalnie w warunkach idealnych (lecz nie utopijnych!) może być wydany przez naczelną w kraju organizację łowiecką (w naszych przyszłych warunkach przez Polski Związek Łowiecki).

Wracając do naszej rzeczywistości, stwierdzić musimy, że jest ona jeszcze daleka od ideału. Większość naszych myśliwych to — posiadacze kart łowieckich, niespojeni żadną więzią organizacyjną, kroczący dziko i luzem. Kłusowników, a zwłaszcza kryptokłusowników (t. j. posiadających karty łowieckiej mamy bardzo dużo. Nasza policja, przeciążona innemi zadaniami, ściga przestępstwa łowieckie w sposób niedostateczny — zorganizowanej powszechnie straży łowieckiej, wyposażonej w jaką taką egzekutywę też nie mamy. W naszych przeto praktycznych warunkach czasy ochronne grają rolę hamulców (dla kłusowników) i „samohamulców" (dla nas samych).

Czy jednak zawsze i wszędzie — i w odniesieniu do wszelkiej zwierzyny? Niech łaskawy czytelnik sam to osądzi, przejrzawszy raz jeszcze przytoczone przeze mnie przykłady, dotyczące ochrony zwierząt rzadszych.

Tak czy inaczej — czy czasy ochronne są tylko „znakami orjentacyjnemi", czy „hamulcami", nie są i nie mogą być one z natury rzeczy twórczym regulatorem hodowli zwierzyny nawet w naszych warunkach, dalekich od ideału. Przeto nie należy wyznawać wiary, że czasy ochronne — to najskuteczniejszy środek walki z bolączkami łowieckiemi. Wiara taka zemści się prędzej czy później.

„Filozofja" zaś, wyrażając się potoczniej: sens, istota czasów ochronnych, nie tkwi w ich jakiejś wyimaginowanej cudotwórczości. F i l o z o f j a c z a s ó w o c h r o n n y c h p o l e g a n a p e w n y m k o n w e n a n s i e. A konwenans bywa silny wtedy, gdy przez znakomitą większość członków danej społeczności jest szanowany. Konwenans nieprzestrzegany, lub stale gwałcony, staje się humorystycznym listkiem figowym.

Obecny szkic mój ma poniekąd charakter krytyki negatywnej. Jeżeli los pozwoli, to w następnym szkicu moim podzielę się z czytelnikami szeregiem pozytywnych rozważań nad poprawą naszych stosunków łowieckich.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

T c h ó r z.

Dziesięciu „zbrojnych" jeźdźców, dziesięć rączych koni
Naganki tłum, ogarów dziesięć sfór —
napełnia wrzawą bór
i goni.
Pędzi, cwałuje zgraja hałaśliwa,
a przodem mały zajączek wyrywa.
Pies dopędzał go już,
gdy szarak w bok
dał skok
i zwiał.
Więc wszyscy w krzyk:
Tchórz zając, tchórz!
A słysząc to wołanie,
biedak nic nie odrzekł na nie,
jeno trzeszcze przymrużył,
tak mu było wstyd, że stchórzył.

BENEDYKT HERTZ



„Woś Kopyra". Z serji nagrodzonej III nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. A. Wiśniewski.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na miesiąc grudzień.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.



Krzyżówki, zapadające na staw w Przyborowie. Z serji, nagrodzonej IV nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego".
Fot. J. ks. Jabłonowski.

ŁOWY SIENKIEWICZOWSKIE.

W 20-tą rocznicę śmierci Henryka Sienkiewicza.

Dwadzieścia lat minęło jak zamknął oczy pisarz wielkiej miary, dwadzieścia lat — jak uleciał w lepsze krainy duch człowieka, który złotem piórem podtrzymywał rycerskiego ducha narodu. Zapłakała Polska cała, gdy umarł Henryk Sienkiewicz. Płacz ten odbił się o wirchy Karpackie, przeleciał przez melancholijne płaszczyzny Podlasia, dotarł do mateczników Puszczy Białowieskiej. W niej zastygł, w niej znalazł oddźwięk może najgłębszy Ten, który ukochał Polskę całą, jej rycerską tradycję, kochał też całą swą wielką duszą — przyrodę, a opisując ją w swych dziełach, nie mógł opanować szlachetnej namiętności — myślistwa. Czyż znajdziemy choć jednego „rasowego" pisarza polskiego, któryby nie był myśliwym, lub conajmniej łowiectwa nie rozumiał? Sienkiewicz nie był innym. Był tym, który nietylko opisywał łowy, lecz też odczuwał ich głęboki urok.

Jeszcze żyją dziś ludzie, którzy z nim polowali, pamięć o nim jako o myśliwym jeszcze jest żywa, jeszcze krążą anegdoty i opowiadania jak, gdzie i z kim polował. Mimo to dobrze będzie o nim wspomnieć, dobrze będzie uzmysłowić sobie sylwetkę tego wielkiego Polaka, który miał zawsze czas i ochotę na polowanie.

Już w zaraniu swej pisarskiej działalności wybiera się autor „Krzyżaków" do Puszczy Białowieskiej. Jemu to zawdzięczamy najpiękniejszy może jej opis. Już z całego szeregu doznanych wrażeń, wyrażonych w swych wspomnieniach widać, że Sienkiewicz patrzył na Puszczę i jej mieszkańców z punktu widzenia myśliwego.

„Cały korowód (mowa o jeleniach) — pisze — przesuwał się nie więcej, jak o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił". Ale nietylko w tem zdaniu znać myśliwego. Budzi się w Sienkiewiczu poeta-myśliwy, nadewszystko kochający przyrodę. Wykwintnem słowem odzwierciadla swą nadzwyczajną spostrzegawczość.

O ile Mickiewicz, będąc na łowach, często zapominając o strzelbie — tworzył, o tyle Sienkiewicz jest zawsze tylko myśliwym. Wprawdzie jego zmysł estetyczny pracuje zawsze, jest to jednak pobudka, by wrażenia zdobyte potem przelać na papier. Polując, nie tworzy, lecz cały jest zatopiony we wszystkich cudach natury i cały oddany jest przemożnej pasji myśliwskiej.

Ciekawem też jest, że w opisach myśliwskich Sienkiewicza znajdujemy obok całego szeregu wrażeń artystycznych wiele danych historjograficznych. W opisie żubra podaje jego dzieje, porównuje go z bizonem amerykańskim, wyliczając ilość sztuk w Białowieży i t. d.

Niema prawie dzieła, w któremby Sienkiewicz nie poruszył tematu łowieckiego. Nawet w czasie największego napięcia patrjotycznego znajduje zawsze chwilę, by wtrącić jakąś scenę czy refleks myśliwski.

Jemu to zawdzięczamy opis kilku wspaniałych postaci, związanych z historią łowiectwa. W opisie łowów na tury i żubry znajdujemy bajeczną sylwetkę Księżnej Januszowej Mazowieckiej, która jest dowodem, że ówczesne panie chętnie „parały się łowiectwem"; wreszcie postać Jagienki, niewahającej się urządzać czaty na niedźwiedzia, są temi jaskrawemi dowodami, w jak wielkiej estymie było łowiectwo w ówczesnych czasach i jak wielu ludzi zajmowało się niem.

Sylwetka Walka, kłusownika z Puszczy Małogoskiej, jest również wycyzelowana, jak wszystkie postacie utworów Sienkiewiczowskich. Opis ludu kurpiowskiego świadczy również o zamiłowaniach myśliwskich autora „Krzyżaków".

Opisy przyrody w dziełach Sienkiewicza są niezrównane. Weźmy np. opis stepu w VII rozdziale „Ogniem i Mieczem" —toż to poemat, który sam w sobie jest arcydziełem. Piękno formy językowej, istotna wartość estetyczna krajobrazu, głębokie ukochanie natury złożyły się na jeden wielki, prozą pisany poemat.

Skończywszy mniej więcej przegląd „rycerskich" dzieł Sienkiewicza, znajdujemy ślad upodobań myśliwskich autora w „Listach z Podróży", zwłaszcza z Afryki i Ameryki. Tu już wraz z genialnym powieściopisarzem kroczy zawsze łowiec, zakochany w strzelbie. Lecz w tych opisach Sienkiewicz już nie jest ten sam. W opisach łowów i przyrody polskiej Sienkiewicz roztkliwia się, z każdego zdania płynie miłość bezgraniczna do polskiej natury. W „Listach" z Afryki czy Ameryki piękno przyrody owiane jest jakimś smutkiem. Bo choć wielki ten pisarz widział wszędzie to istotne, głębokie piękno natury, niemniej tęsknota za przyrodą ojczystą przesłania artyście widok i każe myśleć i porównywać wszystko z przyrodą polską, zawsze na korzyść tej ostatniej. I choć niejednokrotnie słońce afrykańskie świeciło jaśniej i silniej ogrzewało, lecz słońce polskie miało dla Sienkiewicza ten urok swojskości i ciepła, którego brak autor odczuwał tak często na obczyźnie.

Jeśli chodzi o faunę kontynentów pozaeuropejskich, to Sienkiewicz nie darzył specjalną sympatją jej przedstawicieli. Jedynie niedźwiedź amerykański doczekał się dłuższego i szczegółowego opisu.

W „Listach z Afryki" Sienkiewicz przyznaje się do ilcznych pudeł, wreszcie, zapadłszy na febrę, przestaje myśleć nawet o łowach.

Sienkiewicz był myśliwym i zarazem pisarzem, głęboko odczuwającym urok łowów. Podobny on jest w twórczości swej do Mickiewicza. Z punktu myśliwskiego „Pana Tadeusza" porównać można do „Trylogji" Sienkiewiczowskiej. Bowiem i w jednem i w drugiem na plan pierwszy wysuwa się opowieść z dziejów Polski, czy to walk o niepodległość, czy walk z Chmielnickim, Szwedami, Turkami. Lecz zaraz na drugim planie jest zawsze opis życia szlachty. A czyż to życie istnieć mogło bez łowiectwa? Czy który z wielkich pisarzy, lub poetów polskich, mógł nie zainteresować się łowiectwem w dziejach życia wiejskiego? Przecież myślistwo było nierozerwalne z pojęciem rycerskości, było ono w czasie pokoju zaprawą do walk, tak często w dziejach naszych staczanych.

Sienkiewicz był tym, który budził zastygłego ducha narodu. Uczył młodzież w łatwo dostępny sposób historji naszego kraju. I rozmiłowywał tę młodzież w łowiectwie. Którego z nas nie porwał zapał myśliwski, gdy czytał opis łowów na niedźwiedzia czy tura? Jego głębokie ukochanie piękna natury przelewał na swych czytelników, wskazywał je, uczył, jak patrzeć na przyrodę i czem ona może stać się dla człowieka, strudzonego życiem szarem, codziennem.

W jednym z numerów „Świata" znany pisarz Stefan Krzywoszewski charakteryzował nam sylwetkę Sienkiewicza, jako myśliwego. Obok Rabskiego, Fr. Eismonda, Lilpopa jest to jedna z tych postaci tak bardzo zawsze pożądanych na polowaniu...

I dzisiaj, gdy Polska cała składa hołd swemu wielkiemu synowi, gdy wszystkie pisma poświęcają długie artykuły pamięci świetnego pisarza, my myśliwi też o nim zapomnieć nie możemy. Niech ta świetlana postać będzie przykładem, jak należy kochać przyrodę naszego kraju, jak należy rozumieć wszystkie wartości estetyczne prawidłowego łowiectwa.

Na zakończenie tych kilku słów o wielkim pisarzu, pozwolę sobie na małą prośbę w kierunku pana Krzywoszewskiego.

„Szanowny Redaktorze. Niech mi wolno będzie prosić Ciebie, byś zechciał skreślić słów kilka o Sienkiewiczu jako myśliwym. Tyś jeden z tych nielicznych, którzy mieli ten zaszczyt i tę wielką radość polować razem z genjalnym powieściopisarzem. Uciesz więc nasze serca wspomnieniem czasów, gdy ręka Sienkiewicza silnie dzierżyła strzelbę, a w wieczór po polowaniach jego usta opowiadały czarownem słowem przeżycia z dalekich krajów.

Wybacz mą śmiałość, Redaktorze, ale zdaje się, Ty jeden tylko możesz to uczynić, uczynić tembardziej, że znamy pióro Twoje, które tak świetnie kreśli wspomnienia myśliwskie."

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Z DANIELICH GODÓW.

Jesień tegoroczna uśmiechnęła się słoneczną pogodą ostatnich dni październikowych. Tęsknota za lasem odezwała się z taką mocą, że skruszyła barykady skrupułów, trudności urlopowych, trosk zawodowych i nie dała spokoju, dopóki nie znalazłem się w pięknem łowisku p. K. na Pomorzu.

Zwolna toczy się myśliwski wózek po piaszczystej drodze. Zwartą gęstwą podchodzi ku niej świerkowy zagajnik. Tu i owdzie zabieli się brzózka, sypiąc złoty deszcz, zachrzęści suchym liściem dębina. Czasem wiatr trząśnie gałęzią, sypiąc z szelestem przebarwne krocie listków na rozesłane mchy. Cisza wokół i spokój. Tak tu dobrze!...

Wózek skacze po sękach, kołysze się na wybojach. Tu i owdzie mignie w drągowinie bielutkie lusterko sarnie. Zwierzyny mnóstwo. Na polankach i zielonym zamszu ozimin liczne rudle sarn. Jedne uwijają się żwawo, inne pokładły się syte w wysokiej trawie. Gdy mijamy je, podnoszą jak na komendę ciekawe łebki, prężą uważnie łyżki, a czarne mądre oczy śledzą bez trwogi za pojazdem. Tu są bezpieczne. Zgrabny rogaczyk, o cienkich, lśniących parostkach tuż przy drodze skubie jakby odniechcenia trawkę. Mieni się w słońcu puszysta, zimowa suknia. Odskoczył nieco, rzucił łbem, patrzy. I tak co chwila jesienny las ukazuje jakiś nowy, miły obrazek.

Sztucer chwieje się na szyi w takt ruchu wózka. Ukradkiem spoczywa na nim oko. O — tu rył świeżo dzik — pewnie dziś znów przyjdzie... Tu przebiegł dziś rano mocny łopatacz. — „Może pan dziś tu zasiądzie" — proponuje gościnny gospodarz, interpretując we właściwy sposób tęskne spojrzenia na sztucer. „Dam panu jednego daniela — ale warunek: musi być dobry!" Słowa te zawarły cały program urlopu.

Mijając poszczególne partje lasu, żegnamy kolejno schodzących na stanowiska myśliwych. Mnie wiezie woźnica w najodleglejszy kraniec — ostoję danieli. Bez słowa posuwamy się linją. Już widać wysoką czatownię, ukrytą pod okapem dębowych gałęzi. Na lewo dobrze podszyta drągowina. Wtem dostrzegam jakąś sztukę. Jest o 30 kroków. To młódka, płowy daniel. Obok niej coś czarnego. Niestety widać tylko część tułowia — mocna sztuka. Napewno mocny łopatacz — myślę — jeżeli ukaże się w luce...

Czyżby to wszystko tak szybko miało się skończyć?

— Nie — nie strzelę. Przyjechałem, by obserwować gody danieli, usłyszeć głos łopatacza, poznać pełną skalę emocji tego nieznanego mi polowania. Bezszelestnie posuwam się ku czatowni, wchodzę po drabince. Szelest — trzask suchych gałęzi — cisza —

gwałtowny tętent... Przechylony przez burtę stanowiska, zamieniam się w słuch. Znów tętent. Towarzyszy mu dziwne chrząkanie, podobne, jakie wydaje przez nozdrza płoszący się koń. Gonitwa to zbliża się, to oddala. Zdaje się, że zatacza koła. I nagle na linję wypada łania daniela. Cała zdyszana od pędu. Widać wyraźnie płową, centkowaną suknię. Ogląda się na zagajnik. W kilka sekund po niej wyskakuje w sprężynowych podrygach czarny łopatacz. Mam go w szkle lunety. Czarny, jak smoła. Odcina się wyraźnie na jasnem tle przesieki. Łopaty jeszcze słabe, niewykształcone. Szkoda go.



Łopotacz w kniei pomorskiej.

Za chwilę rozkochana para wpada w gąszcz przeciwległego zagajnika. Zasuwają się szmaragdowe firanki świerczyny i tylko zdyszane, pełne namiętnego charkotu chrapanie łopatacza i odgłosy dzikiej gonitwy świadczą o tem, że młódce nie śpieszno zaznać pierwszej rozkoszy.

Zwolna zmrok zalewa las. Przez drogę przekicał jeden i drugi zając, u skraju zagajnika zadumał się roztropny kozioł, przemknęła sarna z koźlęciem. Tuż pod amboną w świetle półmroku zawisnął puszystą kitą stary lis. Błysnęła biel podgardla, gdy przysiadł na chwilę, by posłuchać głosów lasu. Już prawie ciemno. Poprzez mleczny kłąb chmur wychynął księżyc i rozsrebrzył gałązki. Coś zaterkotało na linji. Bryczka. Czas wracać — szkoda!...

O świcie na czatowni. W dole drzemie w cieniu zagajnik. Ranny wiatr rozdygotał suche liście dębiny. Czasem któryś szarpnie się i spłynie z szelestem w dół, czasem pada ich całe krocie, że trudno rozeznać czy to wiatr swawoli, czy zwierzyna się zbliża. Gdzieś w lesie ozwało się tęgie chrząknięcie daniela. Tam, w olszynce odpowiedział mu inny. Ozwał się też trzeci nad wąwozem.

Gody danieli w pełni. Jakże inne od jelenich, gdy wspaniałe byki na całe gardło wyśpiewują tęsknotę swą i gniew, zazdrość i okrutną moc. Inne, a przecież niepozbawione swoistego uroku. Śliczny jest widok, gdy na polance zaduma się płowy byk, skłoni ku tyłowi dłoniaste łopaty, a z rozwartych nozdrzy buchną kłębki pary i w ciszę poranku uderzą chrapliwe, namiętnością rozdrgane dźwięki. Łopatacz zapomina o całym świecie. A przecież to ten sam, który z niezwykłym sprytem prawie rok okrągły uchodził oka hodowcy.

Znów silne chrząknięcie. Zupełnie blisko. I tęskny pisk łani. Odgłosy gonitwy. Na drogę wypada byczek i pędzi, machając osmykiem, jak opętany, w śmiesznych podskokach. Boi się widocznie pogonić tuż za starym, by nie oberwać szturchańca, przeto biegnie bokiem — chytry kibic. Pełne zdziwienia spojrzenie rzucają za nim dwie sarny, przerywając żerowanie.

Już dłużej nie wysiedzę na czatowni. Pali mnie ciekawość, jaki jest „ten mocny". Cicho opuszczam czatownię i przemykam się przesiekami, pilnie obserwując. Taka włóczęga po lesie z zachowaniem wszelkiej ostrożności, przy skrupulatnem uwzględnieniu wiatru, gdy stopy stawiane ostrożnie żadnej nie trącą gałązki, gdy każdy ruch jest obliczony i żaden szczegół w lesie nie ujdzie uwagi — ma w sobie dużo uroku. Gdzieś w głębi człowieka budzi się drzemiący prainstynkt, właściwy wszystkiemu, co żyje w lesie. To są chwile, gdy las uspokaja, krzepi i serce wypełnia szczerą radością.

W ostojach danieli pomimo białego dnia ruch niezwykły. Zbliżam się cicho do niskiej kulturki, przylegającej do gęstego zagajnika. W oddali, w drągowinie coś białego. Koza domowa tutaj? Kieruję w tę stronę szkło Voigtlaendera: daniel — biały daniel! Stoi nieruchomy. Biel sukni przechodzi na cienkim jeszcze karku w barwę kości słoniowej. Między łyżkami błyszczą długie, cienkie szpice poroży. To ten, który powierzony jest najtroskliwszej opiece straży łowieckiej. Białe okazy, pomimo zarzucanego im powszechnie piętna albinizmu, nasadzają tu bardzo dobre łopaty. Byczek czuje się nieswój. Rusza ostro przez drągowinę, kierując się na zagajnik. Na otwartej łączce podziwiam zręczne, elastyczne ruchy, gdy, biegnąc ostrym kłusem, ledwie dotyka ziemi badylami.

Z małemi przerwami prawie cały dzień daniele odprawiają swe gody. Mało czasu poświęcają na spoczynek i żerowanie przy paśnikach. Wszędzie ich pełno. Nic jednak godniejszego strzału nie widać, prócz sprowadzonych świeżo reproduktorów. Te jednak są nietykalne.

Pod wieczór dochodzi mnie silny charkot mocnej sztuki. Słychać wyraźnie, jak ugania po niewidocznych ścieżkach gęstego zagaju. Wpełzam na brzuchu pod nawisające gałęzie. Wiatr jest dobry. Omijam wszystko, co mogłoby zdradzić podchód. Nagle tuż przedemną coś czarnego. Słyszę nieśmiałe, słabe pomruki. Za chwilę jestem o jakieś pięć kroków od leżącego niedbale daniela szpiczaka. Przecież to chyba nie ten, którego słyszałem? Jak na potwierdzenie mych wątpliwości, o kilkanaście kroków dalej odzywa się na całe gardło „ten mocny". Wymijam, ostrożnie pełzając, pomrukującego młodzika i zaczynam podkradać się pod silniejszego. Nagle trzask łomu i galop tuż przedemną. Nie widać nic. Słychać zato świetnie wab łani danielej i charczenie goniącego byka. Moment oczekiwania. Tuż przedemną rozdziera się gąszcz i na luce dostrzegam czarny kształt. Widać w mroku łeb i grube tyki, kończące się w miejscu, gdzie winny przechodzić w łopatę. Znów nie ten — to okaz z obciętemi łopatami, sprowadzony dla odświeżenia krwi.

Jeszcze jeden ranek — ostatni. Bez rezultatu.

A przecież święty Hubert w ostatniej niemal chwili nagrodził hojnie tak długą wstrzemięźliwość. Gdy tegoż dnia opuszczałem te strony, droga raz jeszcze wiodła przez las. W niedalekiem łowisku doszedł mnie znany trzask i wab danieli. Zdało mi się, że słyszę charakterystyczne trącanie gałęzi porożami. Szybka decyzja i z gotowym do strzału sztucerem skaczę na róg zagajnika. Prawie jednocześnie wypada na drogę niezły łopatacz, za nim drugi — ale jaki! Stanął, jak wryty. Jednym rzutem oka objąłem krzepki tułów, tęgi kark, duże, rozłożyste, regularne łopaty. Tylko ten! Daniel dał susa i zginął za najbliższą górką. Skok na wzgórze i strzał prawie z rzutu. Padł w ogniu. Gdy drżące z emocji ręce dźwignęły łeb, zdobny w dłoniaste łopaty, wdzięczność niezmierna zalała serce gorącą falą, a przed oczami przesunęły się raz jeszcze obrazy pięknych, łowieckich przeżyć.

JÓZEF WYSOCKI

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Znów jestem w Vancouver. Mam już obecnie więcej czasu i nie jestem w takiem napięciu, jak kilka miesięcy temu.

Okrążony odnogą Gór Wybrzeżnych (Cost Mountains) Vancouver jest jednym z trzech najruchliwszych portów Oceanu Spokojnego. Pięknie i bogato rozbudowany, mając wspaniały i zdrowy klimat, stanowi pierwszy etap dla chroniących się przed zimnem mieszkańców stref północnych, którzy zjeżdżają tu gremjalnie z początkiem zimy. Ludzie zmożeni ciężką i wyczerpującą pracą w kopalniach, bądź też pracujący w przemyśle drzewnym, zanim wyruszą na *hollydays* (wakacje) ku wiecznie w promieniach słońca tonącej Kalifornji, położonej „zaledwie" o tysiąc czterysta mil na południe od Vancouver, wolny czas wykorzystują na spędzaniu go w tem mieście, stanowiącem jakby przedsionek południa. Ci zaś, którym czas i środki materjalne pozwalają na to, kierują swoje kroki w stronę San Francisco — Santo Barbara — Los Angelos.

Trzeba znać niesłychanie trudne warunki pracy i bytowania w kopalniach dalekiej północy, lub w wilgotnych, ciężkich lasach na wybrzeżach Pacyfiku, aby nie dziwić się rozmachowi, chęci życia i użycia tutejszego obywatela. Lekkomyślnie i z zadziwiającą wprost rozrzutnością traci on swoje ciężko zapracowane dolary na zabawy podczas przerw świątecznych lub urlopowych. Miasto wre i kipi. Posiada cały szereg przybytków, z cnotą mających tyle wspólnego, co sroka z algebrą. Przyczyniają się one znakomicie do szybkiego i skutecznego pozbycia się zielonych, szeleszczących papierków...

Śnieg w Vancouver jest rzadkością. W porze zimowej zato ciepłe deszcze padają bezustannie. Wspaniały jest widok Vancouver w porach, kiedy słońce, przedzierając się przez chmury, rozbłyskiem swoim złoci to prześlicznie położone miasto, które pięćdziesiąt lat temu było jeszcze nędzną, składającą się z drewnianych bud emigranckich osadą. Obecnie brzmi rozgwarem wielkomiejskim, a obszar jego, mimo stosunkowo małego, bo nieprzekraczającego 350 tysięcy zaludnienia, jest nieproporcjonalnie wielki. Świadczy o tem chociażby długość linii tramwajowej, wynosząca około pięćset mil angielskich. Bryan Williams, który obwoził mnie po mieście, pokazywał mi miejsca, obecnie w centrum handlowem Vancouver leżące, które ćwierć wieku temu słynęły z doskonałych przelotów ptactwa, dzikich gęsi „brant" i kaczek.

Wprost nie do uwierzenia jest, że w miejscu, gdzie obecnie mieszczą się monumentalne, wielopiętrowe gmachy nowoczesnych hoteli, tak niedawno jeszcze można było szczuć psami niedźwiedzia.

Doskonale rozplanowany park miejski Stanleya posiada liczne naturalne i sztuczne jeziora i stawy. Na wodach tych dziesiątki tysięcy dzikich gęsi i kaczek, ciągnąc z północy, znajdują schron, zanim zdecydują się udać dalej na południe. Park stopniowo zlewa się i łączy z puszczą cedrową, zachowaną w niezmienionym, dzikim stanie pierwotnym.

W Stanley-parku znajduje się również miejskie Zoo, ze wszystkiemi przedstawicielami fauny kanadyjskiej, którego współtwórcą był mój amfitrjon. Godnym zaznaczenia jest fakt, że, o ile płowa zwierzyna ma tu kapitalne, olbrzymie wybiegi, o ile bobry pobudowały sobie kolonie swoje i bytują w warunkach najbardziej zbliżonych do naturalnych, niedźwiedzie — Codiac — czarny, bronzowy — grizzly i biały — polarny — mieszczą się, niestety, w klatkach, w których warunki higjeniczne urągają najprymitywniejszym wymaganiom, zaspokojonym przez ogrody zoologiczne prowincji.

To samo należy powiedzieć o całej rzeszy drapieżników, tam reprezentowanych. Wilki, kujoty, lisy, rysie, pumy, mieszczące się w Zoo, prowadzą nędzny żywot niewolników w ciasnych, żelaznych klatkach; tęsknie spozierając ku tuż-tuż rozpościerającej się odwiecznej knieі.

Niezrozumiała jest dla mnie gospodarka w tych warunkach, kiedy się dysponuje olbrzymim obszarem i dużemi możliwościami materjalnemi. Pan Williams, widocznie w odpowiedzi na mój niemy zarzut, wytłomaczył mi, że najlepszym jego chęciom stanął na przeszkodzie wybuch wojny europejskiej, a obecnie miasto ma znacznie poważniejsze kłopoty i sprawa ta jest odłożona *„ad calendas graecas"*. Ważny jest i ten wzgląd, że on sam jest już na emeryturze, a następców jego kwestja ta mało interesuje.



Bizon ze Stanley Parku.

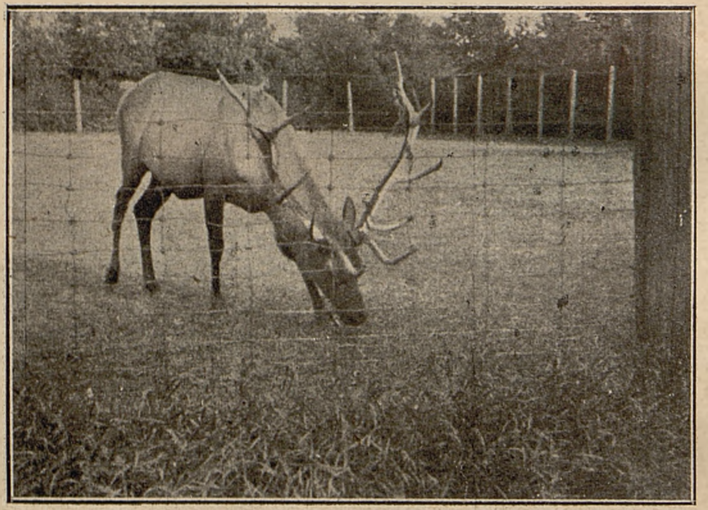
Ponad głębokim na pięćdziesiąt stóp, o stromych i urwistych brzegach Capilano Canyon, na dnie którego pieni się i rozbryzguje potok, przewieszony jest mający przeszło dwieście stóp długości wiszący most, który łączy najpiękniejszą autostradę z cudownym w zadumie swojej i ciszy lasem. W lesie tym przezorna ręka strażników wyznacza miejsce na ogniska dla tysięcy weekendystów, którzy każdą wolną chwilę starają się spędzić poza City. Bo czyż mało kuszący jest widok, kiedy w jasny, przejrzysty dzień błyszczy śniegiem pokryta Grause Mountain, którą złudzenie optyczne pozwala nieomal dotknąć ręką z pokoju hotelowego.

Vancouver, położony na pograniczu Kanady i Stanów Zjednoczonych, jest miejscowością,ześrodkowującą w sobie przedstawicieli wszystkich ras i narodości Wielkiej Brytanji, jednakże z olbrzymią przewagą Anglików, Szkotów i Irlandczyków.

Synowie Słońca, Japończycy, którym już za ciasno staje się w Kalifornji, coraz liczniej napływali do Brytyjskiej Kolumbji. Przeważnie zajmują się oni sadownictwem i warzywnictwem, nie wyrzekają się jednak ulubionego przez siebie na emigracji zajęcia, a mianowicie prowadzenia restauracyj. Potężna i twarda ta rasa nie zasymiluje się nigdy i nigdy się nie wynarodowi. — Bronzowy Hindus z Bengalu, skośnooki

obywatel Hong-Kongu, losami wojny światowej i rewolucji zarzucony tu Kirgiz, Tatar lub Gruzin, po upływie lat asymiluje się i zatraca swoje cechy narodowe. *Jap* — nigdy. I tylko w bardzo nielicznych wypadkach zmiesza się krwią z białym, pozostając zawsze i wszędzie niczem nieskażonym synem swojej ojczyzny.

Każdy z poważniejszych banków zatrudnia już obecnie urzędników narodowości japońskiej, mając na względzie liczną klijentelę, rekrutującą się z pośród nich. I niezmiennie w poważniejszych bankach obok napisu angielskiego mieści się tabliczka ze znakami japońskiemi. Świadczy to również i o tem, że oszczędny i obywający się dosłownie garstką ryżu i fasoli „Jap", z biegiem lat zaczyna przyjmować coraz poważniejszy udział w życiu gospodarczem Kanady. Bogaci się tutaj, bądź wytwarzając na miejscu, bądź też importując z ojczyzny swoje wyroby, które nawet przy najbardziej drakońskiem cle ochronnem potrafią konkurować nietylko tanością z przemysłem amerykańskim.



Wapiti ma tutaj obszerny wybieg.

Charakterystycznym jest ten szczegół, że mieszkając w jednej dzielnicy Chińczyk z Japończykiem, którzy dla białego trudni są do odróżnienia, zachowują ku sobie nawet na obczyźnie daleko posuniętą wrogość. Różnicę tę bardzo starannie podkreśla Japończyk, ze stale przyklejonym uśmieszkiem prostując pomyłkę cudzoziemca, że nie jest on Chińczykiem. Przytem brzęknie cicho, jak komar: *Tjenk-ju*, podkreślając przez to, że temat jest wyczerpany i niema dalej o czem mówić. Pomyłkę cudzoziemcowi wprawdzie wybacza, ale daje mu do zrozumienia, że jest ona dla niego bardzo przykra.

Obywatelem jest Japończyk dobrym. Wszystkie obowiązki spełnia jak najlepiej, ale prosi, aby mu nie zakłócać spokoju. Nie wynurza się. Jest zamknięty, cichy i pracowity. Daninę krwi złożył podczas wojny światowej w szeregach wojsk kanadyjskich. Świadczy o tem monumentalny pomnik na jednej z polan parku Stanleya, wystawiony własnym sumptem Japończyków ku czci padłych wojowników tej narodowości.

Po kilku dniach, spędzonych w mieście Vancouver, zaopatrzony w niezbędne dla nowej wycieczki myśliwskiej akcesorja, odświeżywszy zapas ładunków i garderoby, wyjechałem statkiem. Po przebyciu cieśniny Georgja (Strait of Georgia), dzielącej ląd stały od wyspy Vancouver, wylądowałem po kilku godzinach w Nanaimo. Oczekiwał mnie uprzedzony telefonicznie o moim przyjeździe p. Cecil Cougar Smith. Obowiązek Smitha polega na tępieniu pum, których jedyną jeszcze prawdziwą ostoją są żyzne i bogate ustronia Vancouver i stałego lądu Okanagan. Wycieczką na tę wyspę i zapolowaniem na pumę chciałem zakończyć moją wyprawę w Kanadzie.

Historyczne zainteresowanie obecną wyspą Vancouver koncentruje się na cieśninie Nootka. Cieśnina ta, jedna z najszerszych i najpiękniejszych na zachodniem wybrzeżu, została odkryta w r. 1778 przez kapitana James'a Cook'a, który wylądował w Friendly Cove, położonem u wejścia do cieśniny po stronie północnej. Punkt ten stał się wyjściowym dla dalszych odkryć.

Prawdziwego znaczenia nabrała wyspa ta dopiero w dziesięć lat później, kiedy porucznik John Moares, przybywając z dwoma statkami, założył tu mały ośrodek handlowy. On i jego ludzie zostali później uwięzieni przez dotychczasowych władców wyspy, Hiszpanów. Czyn ten omal nie spowodował wojny między Anglją i Hiszpanją. Po licznych jednak pertraktacjach dyplomatycznych zawarta została ugoda, zwana Nootka Convention, mocą której Hiszpanja uznała suwerenność Anglji w północnej Ameryce.

Formalnie objął kraj w posiadanie dla Wielkiej Brytanji kapitan Georg Vancouver w r. 1792, przejąwszy go od hiszpańskiego komandora Bodega y Quadra.

Wyspa Vancouver o silnie poszarpanej linii brzegu, z mocno zalesionemi zboczami górskiemi, które opadają wprost do wody, wyglądem przypomina Norwegię. Wzdłuż podobnych do fjordów zatok, cieśnin i kanałów mieszczą się małe wioski, których mieszkańcy zajmują się wyłącznie rybołóstwem, lub eksploatacją lasów. Spotyka się tam również liczne osiedla indjańskie z charakterystycznemi, niezmiernie ciekawemi słupami „totem" *(totem poles)*.

Zwłaszcza w Friendly Cove, koło wejścia do cieśniny Nootka, znajduje się kilka naprawdę interesujących przykładów tej oryginalnej sztuki indjańskiej. Groteskowe, różnobarwne figury słupów „totem" symbolizują postacie i zdarzenia z legendarnej historji szczepów, a niektóre świeższe egzemplarze zawierają, jak twierdzą wtajemniczeni, rzeźbę, przedstawiającą kapitana Jamesa Cooka, kiedy wraz z porucznikiem Blighem pierwszy raz zwiedził Friendly Cove w roku 1778.

Dziwny zwyczaj tubylczych plemion kształtowania głowy przez przymocowywanie deski do czoła dziecka, obecnie został już zaniechany, ale kilka przykładów, będących rezultatem dawnego obyczaju znaleźć można jeszcze dziś wśród starszych członków szczepów. Indjanie zachodniego wybrzeża wyspy Vancouver należą głównie do szczepów Nootka i Kwakintl, przyczem ten pierwszy przeważa. Są oni naogół jowialni, beztroscy i, jakkolwiek wpływ cywilizacji diametralnie zmienił ich tryb życia, wiele rzeczy wskazuje na to, że byli oni rasą z dostatecznie dużą kulturą, która przed poznaniem „cudów" i whisky białego człowieka, mając wbród ryb i zwierzyny, była znacznie szczęśliwsza, niż obecnie.

Jako przykład ich dużej zręczności służyć może i dzisiaj wydrążone czółno, wycięte z jednego pnia świerkowego „canoe", lepiej nadające się do żeglugi od wszystkich innych łodzi i szeroko rozpowszechnione wzdłuż wybrzeży.

Panom Butler, Cunningham i Bolton złożyłem po powrocie z głębi kontynentu po raz drugi wizytę, celem okazania i otrzymania zezwolenia na wywóz moich trofeów. W toku rozmowy zaproponowali mi, abym skorzystał z nasuwających się możliwości i pokusił się z pomocą specjalisty Smitha i jego psów, specjalnie do tego ułożonych, zapolować na pumę. Na tę propozycję niezwykle ponętną natychmiast i skwapliwie się zgodziłem.

(C. d. n.) M. G.

WOLNA TRYBUNA

UZBROIĆ STRAŻ ŁOWIECKĄ W POLSCE.

W Nr. 8 „Łowca Polskiego" z dnia 1 sierpnia 1936 r. p. gen. Walery Maryański porusza w doskonałym artykule p. t. „Strażnik łowiecki w Polsce" konieczność ochrony życia tych strażników przed kłusownikami i zwolnienie w tym celu strażników od przymusu posiadania karty łowieckiej oraz karty na broń.

Obowiązujące obecnie Rozp. Pr. Rz. o prawie łowieckiem z dnia 3 grudnia 1927 D. U. 110 poz. 934 zna wprawdzie strażników łowieckich i nakłada na nich obowiązek czuwania nad przestrzeganiem przepisów tego rozporządzenia (art. 23 i 24), ale nie zaopatrzyło, czy też zapomniało, lub nie chciało zaopatrzyć tegoż strażnika w możność noszenia broni i czynienia z niej użytku, gdyż zaraz w tymże art. 24 czytamy: „Strażnik łowiecki, pełniąc służbę, może legitymować osoby polujące, odbierać im broń i zwierzynę, zatrzymywać i odstawiać do właściwej władzy osoby podejrzane" itd.

To słowo może powinno w rozporządzeniu brzmieć powinien. Ale jak strażnik łowiecki może tę powinność spełniać, gdy ma tylko możność dostania „kulą w łeb" od kłusownika, którego może wylegitymować i odebrać mu broń, będąc sam bezbronnym.

Rozporządzenie z r. 1927 zniosło na terenie Małopolski krajową ustawę łowiecką z r. 1909, która w § 42 zezwalała zaprzysiężonej straży łowieckiej na noszenie w służbie broni myśliwskiej i wzmacniała jeszcze stanowisko tej straży przez to, że, jeżeli nosiła ona przepisane odznaki, uważana była za straż publiczną w myśl ustawy państwowej z 16 czerwca 1872. W tym celu w myśl § 81 ust. łow. z r. 1909 wydawane były strażnikom łowieckim przez starostwa legitymacje bez opłaty taksy (§ 83) na czas ich służby.

Rozp. Prez. Rz. z dnia 27 października 1932 o prawie o broni, amunicji i materjałach wybuchowych w art. 21 p. b. mówi, że „osoby, które z tytułu swej służby publicznej, lub swego charakteru służbowego i zgodnie z właściwemi przepisami prawnemi, uprawnione są do posiadania, albo do posiadania i noszenia określonego rodzaju broni, nie potrzebują pozwolenia władzy" (art. 18 ust. 1). Niestety, to postanowienie nie ma zastosowania do straży łowieckiej, gdyż żaden prawny przepis dotychczas nie przyznał teiże straży charakteru służby publicznej, lub charakteru służbowego, jak to czyniła krajowa galicyjska ustawa łowiecka z r. 1909 w § 42 i ustawa państwowa z r. 1872.

W „Aktualnych wiadomościach leśniczych" Nr. 21 z dnia 1 listopada 1936 r. pisze inż. Leon Kociołek w artykuliku p. t. „Uzbrojenie straży leśnej" (gajowych), że województwo krakowskie pismem L. S. P. B. VIII/6/36 z 3 września 1936 wyjaśniło wszystkim podwładnym organom, iż osoby, które jako służba dla ochrony lasów złożyły przysięgę i są uważane za straż publiczną, mogą nosić broń zwykłą. Za broń zwykłą należy rozumieć „dubeltówkę". Województwo krakowskie opiera się w tym wypadku na Rozp. Prez. Rz. z dnia 27 października 1932, a w szczególności na art. 18, 19 i 21 p. b. tegoż rozporządzenia.

Jeżeli zajrzymy do Rozp. Pr. Rz. z dnia 24 czerwca 1927 o ochronie lasów, niestanowiących własności Państwa (Dz. U. 111 ex 1932 poz. 932), to widzimy w art. 59, że utrzymanemi zostały z mocy § 52 i 53 ustawy lasowej z dnia 3 grudnia 1852 (Dz. u. p. austr. Nr. 250), obowiązujące w dalszym ciągu na terenie b. zaboru austrjackiego. Paragraf 52 tejże ustawy mówi, że dla ochrony i dozoru lasów należy ustanowić odpowiednią straż i, jeżeli to są lasy prywatne, należy na żądanie właścicieli zaprzysiądz straż przed władzą publiczną. Paragraf 53 zaś mówi, że osoby, które do ochrony lasów złożyły przysięgę według § 52, uznaje w służbie leśnej za straż publiczną, używającą w tym względzie wszystkich praw, opartych na ustawach, służących osobom urzędowym i strażom cywilnym, i mogącą w służbie nosić broń zwykłą.

Przepisy te, jak widzimy, tyczą się straży leśnej (gajowych, borowych), a nie straży łowieckiej, polowej, rybackiej i t. p. W praktyce pojęcie straży leśnej i łowieckiej pokrywa się, gdyż ten sam człowiek pełni obie funkcje. Według obecnie obowiązującego ustawodawstwa, mamy tu do czynienia z kapitalnem niedociągnięciem i nieprzemyśleniem, w które obfituje, niestety, niejedna nasza ustawa.



Król Kurkowy 1935r. Tadeusz Koszutski wręcza zwycięzcy ufundowany przez siebie puhar przechodni Jerzemu Ostrowskiemu. Stoją: T. Koszutski, A. Regulski, J. Ostrowski, T. Bełżecki, gen. J. Wróblewski. (Do wzmianki na str. 670).

Proszę się tylko zastanowić. Gajowy np. Grzegorz Bąk obchodzi las z bronią, jako strażnik leśny, może z tej broni zrobić użytek w wypadku kradzieży, lub innego przestępstwa z ustawy lasowej. Lecz gdy w czasie tegoż obchodu spotka kłusownika, lub psa, kota, jastrzębia i t. p., to momentalnie zmienia ten Grzegorz skórę, jak kameleon, i już nie jest strażnikiem leśnym, tylko łowieckim i już nie ma prawa użyć broni, wiszącej na ramieniu. Jako strażnik leśny jest Grzegorz Bąk zaprzysiężonym strażnikiem publicznym, urzędowym, nietykalnym, uzbrojonym; jako strażnik łowiecki zaś, spotkawszy kłusownika, powinien precz od siebie odrzucić strzelbę, by broń Boże nie wystrzelić.

Należy więc dla samej powagi naszego prawodawstwa coprędzej usunąć tę anomalję i wydać objaśnienie, że służbie strażniczej, ustanowionej dla ochrony poszczególnych rodzajów gospodarstwa i kultury krajowej, należy nadać stanowisko urzędowe, o charakterze straży publicznej.

Jako rodzaje gospodarstwa i kultury krajowej należy uznać gospodarstwa rolne, leśne, górnicze, łowieckie, rybackie i wodne, o których mówi państw. ustawa austr. z 16 czerwca 1872.

Sądzę, że to objaśnienie, które powinno się coprędzej ukazać, przyniesie korzyści nietylko zainteresowanym w utrzymaniu wysokiej kultury kraju, a więc przedewszystkiem państwu, ale co ważniejsze ukróci kłusownictwo i inne przestępstwa, zabierające rokrocznie tyle istnień ludzkich z grona strażników, pełniących odpowiedzialną, a tak ciężką służbę zawodową.

Sądzę też, że jedno życie ludzkie więcej jest warte, niż suchy przepis nieprzemyślanej ustawy.

DR. STANISŁAW HR. TYSZKIEWICZ

NOWY TYP KARTY ŁOWIECKIEJ.

Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych wydało okólnik do wszystkich urzędów wojewódzkich (z wyjątkiem śląskiego), komisarjatu rządu m. st. Warszawy oraz wszystkich starostw — w sprawie normalizacji kart łowieckich.

Okólnik ten, noszący datę 17 listopada r. b. i Nr. L. IV-2/3, przytaczamy poniżej w całości, nadmieniając, że podany w nim sposób zamawiania druków kart łowieckich nowego typu — odnosi się wyłącznie do władz administracyjnych Państwa, myśliwych zaś obowiązuje wykupienie nowych kart i zamiana trzyletnich kart starego typu na nowe — w terminie do dnia 1 marca r. 1937 — we właściwych starostwach.

„Komisja Normalizacji druków i Wydawnictw Państwowych przy Prezesie Rady Ministrów ustaliła nowy typ karty łowieckiej. Karta ta stanowić będzie załącznik do pozwolenia na broń i składa się z trzech oddzielnych druków:

1) właściwej karty łowieckiej,
2) wyciągu z prawa łowieckiego, oraz
3) tabeli okresów polowań.

Nowy typ karty łowieckiej wprowadza się z dniem 1 stycznia 1937 r.

Począwszy przeto od tego terminu karty łowieckie starego typu nie mogą być wydawane.

Karty łowieckie starego typu, których ważność upływa dopiero po dniu 1. III. 1937 r. (karty trzyletnie) powinne być przez ich posiadaczy wymienione do dnia 1. III. 1937 r. na karty nowego typu za opłatą jedynie kosztów druku w wysokości około 8 gr.

W myśl porozumienia z Ministerstwem Drukarnia Państwowa posiadać będzie odpowiedni zapas kart łowieckich nowego typu i dostarczać je będzie na żądanie do poszczególnych urzędów wojewódzkich za opłatą kosztów druku. Zamówienia na karty łowieckie nowego typu kierować przeto należy bezpośrednio do Drukarni Państwowej (Warszawa, ul. Miodowa Nr. 22).

W końcu Ministerstwo zaznacza, że tabela okresów polowań ważna jest tylko na jeden rok. Ministerstwo będzie przeto w grudniu każdego roku zawiadamiało Drukarnię Państwową o okresach polowań, ustalonych na rok następny i na tej podstawie Drukarnia Państwowa wykonywać będzie nowe tabele na każdy rok.

RUDNICKI
Dyrektor Departamentu

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

LISTA KANDYDATÓW NA DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza następujące kandydatury na Delegatów Powiatowych Związku:

w województwie kieleckiem —

Janiec Ignacy, inż. — Jędrzejów, Nadleśnictwo,
Medoń Władysław, nadl. — Wodzisław,
Różyczki Jerzy — Jędrzejów, Opatkowice,
i Wiltowski Stefan — Sędziszów k/Jędrzejowa, nadleśnictwo Krzelów — wszyscy na powiat Jędrzejów;
Dzianott Zygmunt, dr. — Miechów, Giebułtów
i Kleszczyński Józef, inż. — Proszowice, Jakubowice — obydwaj na powiat Miechów;
Wielkopolski hr. Zygmunt — Chroberz — na powiat Pińczów;
Radziwiłł ks. Aurtur — Rytwiany
i Skotnicki Maksymiljan — Sandomierz, Skotniki — obydwaj na powiat Sandomierz;

w województwie lubelskiem —

Durdełło Zenon, inż. — Garwolin, Miętne — na powiat Garwolin;
Obniski Marjan Hubert, inż. — Izbica n/Wieprzem, Tarnogóra — na powiat Krasnystaw;

w województwie pomorskiem —

Kłoczkowski Henryk, kmdr. ppor. — Gdynia 3, Dowództwo Floty — na powiat Morski;
Kurek Zygmunt, adw. — Kartuzy — na powiat Kartuzy;

w województwie warszawskiem —

Martewicz Stanisław — Łowicz, starostwo i Stanio Władysław — Łowicz, gimnazjum — obydwaj na powiat Łowicz;
Biernacki Jan — Ostrowy Warszawskie, Imielno — na powiat Kutno;
Płoski Aleksander — Gołub, Sokołowo — na powiat Rypin;
Burczak-Abramowicz Seweryn — Szymanów, Skotniki — na powiat Sochaczew;

Kandydatury ogłoszone *po raz drugi.*

VII POKAZ I KONKURS WYŻŁÓW POM. TOW. ŁOWIECKIEGO.

Stało się tradycją, że rokrocznie, w czasie kiedy srebrna pajęczyna babiego lata przypomina myśliwym czas kurzych łowów i kiedy po borze rozbrzmiewać zaczyna zew miłosny króla kniei — jelenia, Pomorskie Towarzystwo Łowieckie daje myśliwym, hodowcom i treserom psów myśliwskich, możność popisu dla ich psich uczniów umiejętnością łowiecką przed gronem surowych sędziów i publicznością.

W bieżącym roku już po raz siódmy z rzędu, w dniach 14 i 15 września, gościnne mury Komierowa Komierowskich oraz cudowne ich knieje gościły elitę myśliwych pomorskich oraz doborowy zastęp menerów wraz z ich pupilami — wyżłami, które wykazywać się miały zdobyczami tresury.

Przy pięknej pogodzie otworzył w dniu 14 września pokaz prezes Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. Szambelan Komierowski, witając przedstawiciela Dyrekcji L. P. w Toruniu, gości oraz członków Towarzystwa i menerów.

Skład Komisji Sędziowskiej tworzyli pp. Dr. J. Łukowicz, Szambelan T. Komierowski, nadleśniczy pryw. Dutkiewicz, Dr. Inż. L. Ossowski, oraz jako sędzia pomocniczy leśniczy państw. Orlikowski.

Do pokazu stanęło 10 psów — wyżłów rasy niemieckiej, w przeważnej części szorstkowłosej, w następującej kolejności:

1) „As z Rogów" ur. 1934 r. — wyżeł jasny w bronzowe łaty, krótkowłosy, o dobrej budowie i piersi bez błędu.

Nagroda: srebrny medal Pomorskiej Izby Rolniczej;

2) „Tor z Boreczka" ur. 1934 r. — wyżeł szorstkowłosy — bronzowy z białą piersią, pies dobrze zbudowany, nieco drobnej konstytucji fizycznej;

3) „Treff II z Sosn. Boru" (Pom. Ks. Rod. Szorstkowł. Nr. 13) ur. 1933 r. — wyżeł bronzowy w jasne plamy; bardzo dobrze i silnie zbudowany; pierś głęboka. Pies ten w r. 1933 otrzymał już srebrny medal Pom. Izby Rolniczej;

4) „Neron z Karczewa" ur. 1935 r. — wyżeł szorstkowłosy, bronzowy, dobrze zbudowany, o piersi głębokiej;

5) „Kara z Sosn. Boru" ur. 1935 r. — suka bronzowa, biało nakrapiana, grzbiet ciemny, białe nogi; pierś głęboka, jednakże nieco za wąska;

6) „Tessa z Łowieckiego Dworu" ur. 1934 r. — suka jasnobronzowa, o miękkiem uwłosieniu, zad nieco za wysoki, grzbiet trochę wygięty, pierś dobra;

7) „Tarzan II z Sos. Boru" ur. w 1934 r. — wyżeł szorstkowłosy, jasnobronzowy, budowa bardzo dobra, głęboka i szeroka pierś;

Nagroda: bronzowy medal Pomorskiej Izby Rolniczej.



Z konkursu i pokazu wyżłów dowodnych w Komierowie, urządzonych dn. 14 i 15 września 1936 r. przez Pomorskie Towarzystwo Łowieckie.

8) „Rita z Sosnowego Boru" ur. w r. 1934 — suka szorstkowłosa, bronzowa, — pod brzuchem i na nogach jasno nakrapiana, budowa naogół dobra, nieco drobna konstytucja fizyczna; Nagroda: bronzowy medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

9) „Budrys z Dąbrowic" ur. w 1934 r. — wyżeł krótkowłosy o maści bronzowej w białe łaty — zad nieco spadzisty, pierś dobra;

10) „Lord z Łukowa" ur. w 1934 r. — wyżeł krótkowłosy, biało-bronzowy nakrapiany, bardzo dobrze zbudowany, silna, szeroka i głęboka pierś.

Nagroda: srebrny medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

Po ukończonym pokazie odbył się konkurs wyżłów, do którego stanęło 6 psów.

W stosunku do lat ubiegłych frekwencja psów na konkursie była dość nikła, czego powodem była panująca w okolicach Chojnic, Tucholi i Sępólna nosacizna, wobec której część zgłoszonych na konkurs wyżłów nie stawiła się.

Konkurs składał się z pracy leśnej, a przedewszystkiem z pracy za farbą, na co kładziono specjalny nacisk, pozatem z pracy wodnej, polnej i z popisu ciętości. Wyniki konkursu przedstawia zestawienie, zamieszczone na str. 668.

Przystępując do ogólnej charakteryzacji pracy poszczególnych wyżłów, należy stwierdzić, że wyżły (z wyjątkiem Nerona z Karczewa) szczególnie dobrze pracowały za farbą na otoku. Objaw ten jest tembardziej pocieszający, że naogół wyczuwa się coraz większy brak wyżłów, pracujących na farbie, wskutek czego ginie znaczna ilość postrzałków. Nowela ustawy łowieckiej powinna, analogicznie do niemieckiej ustawy łowieckiej, przewidzieć, że łowisko, posiadające jelenie, winno posiadać również psa tropowca, lub psa, pracującego na farbie.

Również i praca wodna, oraz polna wypadła naogół dobrze. Ciętość natomiast, opierającą się na dławieniu drapieżnika, wykazały jedynie trzy psy. Na szczególną uwagę zasługuje Tor z Boreczka, który, aczkolwiek drobnej budowy, atakował bardzo energicznie drapieżnika i zdławił go.

W wyniku konkursu Tor z Boreczka otrzymał dyplom na I premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, oraz I nagrodę Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w postaci browninga z przyborami.

As z Rogów otrzymał dyplom na II premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, oraz II nagrodę Dyrekcji L. P. w Toruniu w postaci skórzanej torby myśliwskiej.

Treff z Sosnowego Boru otrzymał dyplom na II premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego i III nagrodę Dyrekcji L. P. w Toruniu w postaci trąbki myśliwskiej.

Tessa z Łowieckiego Dworu otrzymała dyplom na III premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, oraz nagrodę pieniężną i honorową taksamo, jak Kara z Sosnowego Boru.

Neron z Karczewa otrzymał nagrodę pamiątkową Dr. Inż. L. Ossowskiego w postaci książki Oberländera p. t. „Hodowla i tresura wyżła użytkowego".

Przechodząc do omówienia bilansu konkursu, należy stwierdzić, że menerzy wkładają naogół dużo pracy, zachodu i energji w prowadzenie i tresurę wyżła, czego najlepszym dowodem były wyniki konkursu. Błędnem jednakże jest, że część wyżłów wprowadza się za wcześnie (za młodo) na konkurs, skutkiem czego siłą rzeczy nie mogą one konkurować ze staremi, doświadczonemi wyżłami. Psa po raz pierwszy należałoby zgłaszać na konkurs dopiero w 2-giem polu.

Współpraca Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu z Pomorskiem Towarzystwem Łowieckiem nietylko na polu hodowli wyżła, ale również we wszelkich innych dziedzinach łowieckich, jest z roku na rok wydatniejszą, przyczyniając się walnie do pogłębienia zasad i metod etyki oraz hodowli łowieckiej. Należy jednak, niestety, wspomnieć, że rażąco odczuto na konkursie brak przedstawiciela Pomorskiej Izby Rolniczej.

Podziękowanie należy się Wiceprezesowi Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. Dr. J. Łukowiczowi, za pełne poświęcenia mozoły, trudy i zachody w sprężystem zorganizowaniu oraz przeprowadzeniu pokazu i konkursu, a Prezesowi Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. Szambelanowi T. Komierowskiemu z Komierowa, za iście staropolskie ugoszczenie wszystkich przybyłych na konkurs, tudzież za dostarczenie lokomocji podczas konkursu, oraz za użyczenie na konkurs cudownej kniei Komierowskiej.

— Darzbór!

DR. INŻ. O.

WYNIK KONKURSÓW 1936 R. — KOMIEROWO.

0= Niedostatecznie 1= Dostatecznie 2= Dość dobrze 3= Dobrze 4= Bardzo dobrze	Uwaga: Liczbę wyroków otrzymuje się mnożąc cenzurę × wartość działu	Wartość działu	As z Rogów		Tor z Boreczka		Treff z Sosnowego Boru		Neron z Karczewa		Kara z Sosnowego Boru		Tessa z Łowieckiego Dworu	
	I. Praca leśna													
1.	Za farbą na otoku	4.	dość dobrze	8	b. dobrze	16	b. dobrze	16	niedostatecz	0	b. dobrze	16	b. dobrze	16
	„ „ luzem	5.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	„ „ z oszczekiwaniem	6.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
2.	Aport zgubionego drapieżnika	5.	b. dobrze	20	b. dobrze	20	b. dobrze	20	niedostatecz	0	b. dobrze	20	b. dobrze	20
	„ „ zwierzyny użytk.	4.	b. dobrze	16	dobrze	12	dostatecz	4	b. dobrze	16	b. dobrze	16	b. dobrze	15
3.	Wyparowanie	2.	b. dobrze	8	b. dobrze	8	dobrze	6	b. dobrze	8	dobrze	6	dobrze	6
4.	Zachowanie się na stanowisku	2.	b. dobrze	8	b. dobrze	8	b. dobrze	8	dostateczn.	2	dość dobrz	4	dobrze	6
5.	Warowanie na strzał	2.	b. dobrze	8	dobrze	6	dobrze	6	b. dobrze	8	niedostatecz	0	dobrze	6
6.	Zachowanie się na otoku	1.	b. dobrze	4	b. dobrze	4	b. dobrze	4	dobrze	3	b. dobrze	4	b. dobrze	4
				72		74		64		37		66		74
	II. Praca wodna													
1.	Bobrowanie za kaczkami	3.	b. dobrze	12	b. dobrze	12	b. dobrze	12	dostateczn.	3	b. dobrze	12	b. dobrze	12
2.	Aportowanie z głębokiej wody	3.	b. dobrze	12	b. dobrze	12	b. dobrze	12	dostateczn.	3	b. dobrze	12	b. dobrze	12
				24		24		24		6		24		24
	III. Ciętość													
1.	Dławienie	6.	b. dobrze	24	dobrze	18	b. dobrze	24	—	—	—	—	—	—
2.	Osadzanie	1.	—	—	—	—	—	—	dość dobrze	2	dobrze	3	dobrze	3
				24		18		24		2		3		
	IV. Praca polna													
1.	Wiatr	5.	b. dobrze	20	b. dobrze	20	b. dobrze	20	dobrze	15	b. dobrze	20	dostateczn.	5
2.	Sposób szukania	4.	b. dobrze	16	b. dobrze	12	b. dobrze	16	b. dobrze	16	dość dobrze	8	b. dobrze	16
3.	Wystawianie	4.	b. dobrze	16	b. dobrze	16	dobrze	12	dobrze	12	dość dobrze	8	dobrze	28
4.	Dociąganie	3.	b. dobrze	9	b. dobrze	12	dobrze	9	—		—	—	—	—
5.	Karność (apel)	2.	b. dobrze	8	b. dobrze	8	dobrze	6	dobrze	6	dostateczn.	2	dość dobrze	4
6.	Wytrzymanie na strzał	2.	b. dobrze	8	b. dobrze	8	b. dobrze	8	b. dobrze	8	dobrze	6	dobrze	6
7	Respektowanie zajęcy	2.	—	—	b. dobrze	8	—	—	—	—	—	—	b. dobrze	8
8.	Zachowanie przed zrywającą się zwierzyną	2.	dobrze	6	b. dobrze	8	dobrze	8	dobrze	6	dobrze	6	b. dobrze	8
9.	Aportowanie zguby	3.	dobrze	9	b. dobrze	12	b. dobrze	12	dość dobrze	6	dość dobrze	6	dobrze	9
			S = 212	92	S = 220	104	S = 201	89	S = 113	68	S = 149	56	S = 169	16

WYSTAWA PRAC FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO.

Najpierw kilka szczegółów biograficznych. Franciszek Kostrzewski ujrzał światło boże w Warszawie, 19.IV. 1826 r. jako syn niezamożnego urzędnika. Od wczesnej młodości bardziej interesował się przyrodą, niż książką, to też z ciężką biedą przepchał 6 klas gimnazjum. Gdy jako urzędnik fabryki w Ostrowcu naszkicował karykaturę swego szefa — skończył się całkowicie. Wstąpił wtedy do szkoły sztuk pięknych w Warszawie; z profesorami wędrował po Polsce, szukając widoków i typów do malowania. Zagranicą nie był — bo nie miał na to pieniędzy. Prace olejne, akwarele i rysunki sypały mu się, jak z rękawa. Zapraszali go ziemianie do majątków, gdzie hulał, ucztował i polował. Zmarł w 1911 roku jako 85-letni, ociemniały niemal zupełnie, dobrze wysłużony starzec, pozostawiając w spuściźnie blisko dwa tysiące obrazów i z górą sto tysięcy rysunków.

Otwarta w Warszawskiej Zachęcie br. wystawa prac Fr. Kostrzewskiego cieszy się wielkim powodzeniem. Ja na tę wystawę przyszedłem z okularami myśliwskimi... i przydały mi się... Kochany Pan Franciszek nie zrobił krzywdy myśliwym... pozostawił wiele rodzajowych scen z polowania z których sporo oglądamy na obecnej wystawie, urządzonej w 25-tą rocznicę śmierci tego popularnego i wesołego artysty. Któż nie słyszał o polowaniach Radziwiłłowskich? Przedstawił je też Kostrzewski olejno na wielkim płótnie. Jest to pełen życia obraz zajazdu w leśniczówce w złoty dzień jesienny. Akwarela „Polowanie" to ciężka satyra na myśliwego, który wyruszył na niedzielne łowy i ubił gęś domową na zarośniętym, przywioskowym stawie; kumoszka wiejska, której gęś była własnością, czyni mu ostre wyrzuty, wyżeł ze wstydu tyłem się odwrócił, a nemrod otworzywszy usta — zaniemówił. Wspaniale podchwycony jest gwasz „W lesie", gdzie dwóch myśliwych zimową porą raczy się w borze „wódecznością" z pojemnej manierki.

Wysoce wymownym jest duże płótno olejne p. t. „Ostatnie sosny": pod toporem runął las, pozostało jeszcze kilka sosen; myśliwy usiadł na pniaku i duma nad nieopatrzną gospodarką leśną. Analogiczną myśl zawiera akwarela „Ostatnia sosna", gdzie żyd wszystkie drzewa wyciął, a ostała się tylko jedyna sosna, którą od haniebnej śmierci uratowała figurka Najświętszej Panny, zawieszona na niej przez ludność ze wsi. Świetnie ujęta jest „Scena rodzajowa", przedstawiająca na tle pejzażu — myśliwego z dubeltówką, przechodzącego z trwogą przez uginającą się kładkę, przerzuconą przez rzekę; za myśliwym — przyjaciel jego legawiec. Dobrą satyrą jest „Polowanie na kaczki" (myśliwy z dosadnym brzuszkiem) i akwarela „Polowanie", wyobrażająca nemroda w lakierkach, podającego nagance papierosy. Po mistrzowsku uchwycił też artysta inne płótno z 1876 r., równie zatytułowane „Polowanie", na którym widzimy las w zimie, myśliwych na saniach i nagankę. Nie mniejszą wartość posiada też olejny obraz „Myśliwi na słonkach", gdzie w całym majestacie występuje czar lasu.

Również i wśród bogatej kolekcji piórkowych rysunków znajdujemy pocieszne sceny myśliwskie, z kapitalnymi — jak na owe czasy — dowcipami, a które obecnie nie wywołają zapewne kaskady śmiechu. Oto taki dialog:

— Ojcze, z czego ten nasz pies taki kontent?

— Ja mu się nie dziwię, nawet mu zazdroszczę, przecież nikt mu nie zabrania być wyżłem.

Doskonały jest też „Myśliwy filozof" (litografia B. Sławoszewskiego), wypowiadający taką głęboką sentencję: „Trzeba być głupim, żeby dla głupiego zająca, jak jaki głupiec cały dzień zmarnować".

Kostrzewski znał doskonale wieś i zapewne nie jeden kundys chwycił go za nogawicę, kiedy te psy wsiowe i nie wsiowe tak często zamieszczał na pierwszych planach swoich prac, owianych szczerym humorem. A podkreślić należy, że Kostrzewski ostrza dowcipu swojego nie kierował nigdy przeciwko jednostkom, lecz przeciw ogólnym wadom i śmiesznościom. Więc współczesny świat myśliwski z zainteresowaniem oglądał prace Pana Franciszka, przedstawiające sceny, w których nemrod był bohaterem — i śmiał się do rozpuku, trzymając się za boki...

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

Z OBCYCH WYDAWNICTW.

„*Jagen — Reisen — Lustig sein*" (Polować — podróżować — być wesołym) Carl-Friedrich hr. von Pückler-Burghauss. Z zielonego lasu i różnorodnego życia, ozdobione 16-ma ilustracjami, nakładem Paul Parey — Berlin. Cena Rm. 6.50.

Treść całej książki, poprzedzona krótką przedmową, podzielona została, jak wskazuje sam tytuł, na trzy główne rozdziały, które nowu składają się z całego szeregu większych lub mniejszych artykułów.

Na początku swej pracy stawia autor myśli greckiego filozofa: „Dla duszy człowieka należy stworzyć coś do kochania i dawać jej od czasu do czasu wolne chwile, któreby służyły jej jako pożywienie i wzmocnienie. Podczas spacerów trzeba również wyzbywać się wszelkich trosk, gdyż duch ludzki na świeżem powietrzu wznosi się i potężnieje. Nie można zaniedbywać przejażdżek i podróży; czasami nawet przyzwoita pijatyka człowieka ożywi. Rozrywki te rozpraszają troski, wzruszają do głębi duszę i są jedynym środkiem na różne choroby i smutki". Ta filozofja pochodzi od stoika Seneki, który obowiązki życia traktował bardzo poważnie.

Książka ta, która jest napisana w pierwszym rzędzie dla myśliwych, w niczem nie uchybia powyższej poważnej myśli. Przynosi czytelnikowi wiele ciekawych, zajmujących i humorystycznych opisów polowań, podróży, wypraw górskich i krajoznawczych, wspomnień myśliwskich i t. p., oraz cały szereg poezji, przeplatającej prozę każdego niemal składającego się na całość tej książki artykułu. Piękno przyrody, jak i urok przeróżnych polowań, ujęte są w formie łatwych i miłych w czytaniu opowiadań, zawierających wiele cennych spostrzeżeń z dziedziny urządzania i techniki polowań na niektóre gatunki zwierzyny łownej.

„O szlachetnych jeleniach" — pierwszy ustęp tej książki — zawiera w swej treści barwny opis polowań autora na Śląsku, w okolicach Meklenburgu i na Węgrzech, na jelenie. Wśród poważnie ujętych przeżyć w czasie spotkania byka nie braknie i wybornego humoru. Dla przykładu przytoczę jeden krótki opis spotkania „zwierza": „Pewnego wieczoru zasiadał dzierżawca terenów łowieckich na brzegu lasu w celu odstrzelenia szczególnie silnego dzika. O zmroku pojawiło się na mecie coś czarnego, wpół przykrytego. „Niech pan strzela, silny zwierz! — woła leśnik. — Ten jednak bierze lornetkę do oczu: „Przeklęty głupcze, to przecież stara kobieta, szukająca jagód" — „Ależ proszę bardzo, niech pan strzela, może to jest jednak stara świnia!"

„Na kozy i koziorożce w Tatrach". W tym ustępie streścił autor ciekawie młodzieńczy swój zapał do gór, przedstawił wyczerpująco obraz Tatr, a zwłaszcza jednego górskiego rewiru, rozdzielonego dzisiaj między trzy państwa: Polskę, Węgry i Czechosłowację, w którym, jak w raju, mógł w czasach przedwojennych polować na kozice, koziorożce, sarny, niedźwiedzie, rysie i dziki.

„Kartki wspomnień o przyjacielu myśliwym" zawierają obszerne opowiadanie o dzielnym hodowcy-myśliwym z Wielkopolski, który przez całe niemal swe życie z wielkiem poświęceniem pracował w dziedzinie hodowli zwierząt łownych, a zwłaszcza jeleni.

„Dzień polowania na Śląsku" zapoznaje czytelnika z kilku praktycznemi i niekosztownemi sposobami polowania na drobną zwierzynę łowną.

„Pierwsza kozica" jest wyrazem radości z powodu upolowania pierwszej kozicy górskiej.

„Dziki" stanowią krótkie opisy polowań autora na dziki w okolicy Meklenburgu, w Karpatach i pod Rokitnem. Ciekawe są zwłaszcza pełne humoru przygody Pücklera w czasie tych polowań.

„Auto i jelenie" przedstawiają wyprawę autora do północnych Niemiec na odstrzał jeleni.

„Od pechowego głuszca do prastarego". W tym ustępie streszcza autor akcję kilku polowań na głuszce. Przyjemność przeżytych i odtworzonych przez Pücklera wrażeń w czasie spotkania trubadura puszczy może odczuć i zrozumieć tylko stary i doświadczony myśliwy.

„Diano, osłoń swe czoło" przynosi szereg opisów polowań na kozły z podjazdu.

„Skromni towarzysze" są zbiorem wybornych opowieści humorystycznych, które są chętnie powtarzane przez myśliwych w większem gronie, a zwłaszcza wtedy, gdy rozmowa toczy się na temat zdobyczy myśliwskich.

„Samotność na bagnisku". Krótką tę pracę poświęcił autor samotnym brodzeniom po bagniskach Rokitna na Wołyniu. Lubując się urokiem prześlicznych krajobrazów i przyjemnością polowań tego rodzaju, podkreśla we wstępie, iż nie jest to kraj kulturalny. Dziś już jednak, od chwili odzyskania niepodległości, pod względem rozwoju kulturalnego kraju znacznie zmieniło się na lepsze.

„Nieudane polowanie na niedźwiedzia". W tem miejscu umieszczony został opis wyprawy autora nad zatokę Fińską w celu odstrzelenia niedźwiedzia.

„O strzelbach". Tu omówił Pückler posiadaną przez siebie broń myśliwską i użycie jej, stosownie do rodzaju zwierzyny, w czasie polowań.

„Myśliwy i hodowca". Jest to ostatni ustęp pierwszego rozdziału tej książki, w którym autor pomieścił interesującą kronikę hodowanej i odstrzelonej zwierzyny w swym rewirze.

Druga część, poświęcona podróżom i turystyce, składa się również z poszczególnych artykułów, jak: „Na wysokich górach", „Cresta run", „Romanow-Jubileusz", „Pożegnanie z Rosją", „Do grobu Fryderyka II", „Święte miasto", „Hellada", „Lot przez Bałkany", „Karczma na skraju ulicy", „Ojczyzna i kraje przyległe" i „W parku".

Są to w większej części ujęte w formę opowiadania opisy podróży, wypraw górskich, miast i krajów, obyczajów ludności i t. d.

W ostatniej części zawarte zostały humorystyczne artykuły, zatytułowane: „Cierpliwość", „Paralipomena", „Zagadka świata" i „Śmierć troskom".

I wreszcie w zakończeniu wyraża autor tęsknotę za ubiegłym czasem oraz chęć odbycia jeszcze chociaż kilku podobnych wypraw myśliwskich do Afryki.

STEFAN MACKIEWICZ

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

OESTERREICHS WEIDWERK.

Nr. 20/36 str. 313 Venator „*Pogoda i wiatr a polowanie*". — Podobnie jak w rolnictwie, pogoda i wiatr mają decydujący wpływ na wyniki polowania, a nawet na samą możność jego wykonywania. Przy deszczu ulewnym lub gradzie można spokojnie pozostawać pod dachem, bez żalu, że się coś straci, bo do zwierzyny się wówczas nie dojdzie. Zato po parodniowej ulewie letniej myśliwy udający się do lasu będzie zdumiony ilością spotykanej zwierzyny, która po przymusowym poście wychodzi pod wieczór z legowisk, aby się paść, a którą łatwo podejść z powodu rozmiękłej ziemi, zciszającej kroki, oraz mokrego, nieszeleszczącego listowia, trawy i gałązek. Na jesieni nie udaje się to jednak z powodu mgły i wczesnego zachodu słońca. Ten sam efekt pomyślny dają rzęsiste z piorunami, ale krótkie burze, po minięciu których ukazuje się słońce. Jak na rewję wychodzą wówczas z lasu na otwarte przestrzenie zwierzęta łowne, aby się w promieniach słonecznych wysuszyć. Lekkie, ciepłe deszczyki bez wiatru nigdy polowaniu nie szkodzą. Raczej przeciwnie: na wiosnę np. nigdy słonki nie ciągną tak wolno i z tak głośnem chrapaniem, jak właśnie w ciepły, dżdżysty wieczór. Wręcz niepożądaną dla myśliwego jest natomiast długotrwała susza: zwierzyna kryje się po gąszczach, a podchodzenie jej uniemożliwia głośne echo kroków po spękanej ziemi i trzask wyschłych badyli.

Takież, a może jeszcze większe znaczenie dla myśliwego posiada śnieg. Bez niego nie do pomyślenia jest tropienie zwierzyny zimą, ale znowu nadmiar śniegu puszystego utrudnić może zarówno tropienie, jak poruszanie się zwierzyny, lub dochodzenie jej przez myśliwego. Dopiero działanie na odmianę odwilży, powodującej osiadanie mas śnieżnych, a potem mrozu umacniającego je, stwarza warunki najbardziej pożądane. Zbyt

silne mrozy mogą stanowić poważną przeszkodę w polowaniu, utrudniając zwierzynie dostanie się do paszy pod śniegiem i zmuszając ją do ciągłego ruchu, co uniemożliwia umiejscowienie zwierzyny i jej osaczenie.

Wysoce kapryśnym i najczęściej mało pożądanym czynnikiem bywa dla myśliwego wiatr o większem natężeniu. Przy wiatrach o charakterze wichru najlepiej jest siedzieć w domu. Zwierzyna zaszywa się w gąszcze, a nawet przy możliwości strzału — śrut a nawet kula są odchylane w biegu i celu właściwego nie dochodzą. Silne wiatry uniemożliwiają również podchodzenie zwierza, bo odbijając się o przeszkody terenowe ciągle zmieniają kierunek i mogą dać odwiatr w zgoła niepożądanej stronie. Natomiast wiatry słabe o kierunku niezmiennym ułatwiają podchodzenie zwierzyny przez myśliwego i odszukanie jej przez psa. Jednak na ciągu słonek nawet względnie słaby wiatr psuje przelot, a w każdym razie powoduje milknięcie ptaka. Słonka wybiera wówczas dla przelotu miejsca osłonięte przez wysoki las, toteż radzi się wówczas myśliwemu stawać pod ścianą drzew.

DEUTSCHE JAGD.

Nr. 30/1936, str. 569. Schwarz *„O muflonach"*. — Autor, leśniczy na Śląsku, stykał się od lat 10 z zagadnieniem aklimatyzacji muflonów i posiadał we własnym rewirze około 120 sztuk tej zwierzyny. Stwierdza on szereg dodatnich cech u muflonów, a więc przedewszystkiem odporność na zmienne warunki klimatyczne, które sprawiły, że nadzwyczaj surowa zima 1928/29 nie poczyniła wśród nich prawie żadnych strat, wówczas gdy stan sarn zmniejszył się o 30%. Drugą cechą dodatnią muflonów jest ich przywiązanie do miejsca, które opuszczają tylko w braku pożywienia. W miejscowościach górskich spędzają muflony lato na wyżynach, podczas śnieżnych zim schodzą w doliny do starych karmisk. Następną zaletą muflonów jest zdolność szybkiego rozmnażania się. Owiec jałowych prawie się nie spotyka. Dość odpornym jest również muflon na choroby. Dopiero w starszym wieku, powyżej 10 lat, zapadają muflony często na choroby uzębienia. Natomiast zwierzyna ta może powodować poważne straty w zasiewach, pociągające wysokie odszkodowania. Pomimo niewybrednego naogół upodobania co do pożywienia, muflony umieją jednak docenić wyższość paszy kulturalnej i jeżeli mają w pobliżu pola, chętnie atakują je, opuszczając las. Szkody wyrządzane przez muflony są tem większe, iż wzorem owiec trzymają się one stadami i biada temu polu, na którem takie stado spędzi noc. Ale i w lesie mogą muflony wyrządzić duże szkody w kulturach i szkółkach, objadając młode pędy i ogryzając korę, jeżeli brak im normalnego pożywienia w trawach. Wśród drapieżników największego wroga ma muflon w wałęsających się psach owczarskich. Autor cytuje wypadek kiedy 13 muflonów rozszarpanych zostało przez dwa kłusujące psy i ostrzega, że psy muszą być powodem opuszczenia przez muflony rewiru łowieckiego. Co się tyczy wreszcie wartości mięsa muflonów, to dobry smak, pośredni między baraniną a sarniną, ma pieczeń młodych muflonów, natomiast stare tryki, zwłaszcza w okresie rui, są zupełnie niejadalne.

J. G.

WYNIKI ZAWODÓW STRZELECKICH KU CZCI ŚW. HUBERTA.

W dniu 8 listopada b. r. Bractwo Strzelców Kurkowych w Warszawie zorganizowało zawody na strzelnicy w Szczęśliwicach, których wyniki były następujące:

I. W konkurencji otwartej Kbk s. 4a zajęła pierwsze miejsce p. Burska Marja (P. B. R.) osiągając 88 pkt. przed Leixnerem Janem (P. B. R.) 83 pkt. i Szyszczyńskim Ryszardem (P. B. R.) 81 pkt.

II. W konkurencji otwartej specjalnej na 100 mtr. z postawy stojącej Kbk s. W ocenie indywidualnej: pierwsze miejsce zajął Szyszczyński Ryszard (P. B. R.), osiągając 272 pkt. (na 300 możliwych), drugie miejsce Ostrowski Jerzy (P. B. R.) 264 pkt., trzecie miejsce Bełżecki Tadeusz (B. S. K.) 259 pkt. i czwarte miejsce Burska Marja (P. B. R.) 251 pkt. W ocenie zespołowej (3 osob.): pierwsze miejsce zajął zespół Państwowego Banku Rolnego, osiągając 784 pkt. (900 możliwych), drugie miejsce zespół Bractwa Strzelców Kurkowych, osiągając 700 pkt., trzecie miejsce zespół Klubu Sportowego „Dopolavoro", osiągając 641 pkt.

III. W konkurencji Zamkniętej wyłącznie dla członków B. S. K. o puhar przechodni ofiarowany przez pierwszego Króla kurkowego 1935 r. T a d e u s z a K o s z u t s k i e g o pierwsze miejsce zajął Ostrowski Jerzy, osiągając 88 pkt.; drugie miejsce Bełżecki Tadeusz, osiągając 87 pkt., trzecim miejscem podzielili się pp. Staniszewski i Regulski, osiągając po 79 pkt.

Puhar na rok 1936 zdobył p. Ostrowski Jerzy.

T. BEŁŻECKI
Strzelmistrz B. S. K.

WALNE ZEBRANIE KLUBU HODOWCÓW WYŻŁA NIEMIECKIEGO.

W dniu 8 grudnia b. r. o godz. 18-ej, odbędzie się w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego (Nowy Świat 35) Walne Zebranie członków Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego.

Po zebraniu (około godz. 20-ej) dr. med. wet. Maksymiljan Łabędź wygłosi odczyt p. t. „Żywienie psa".

Wstęp na odczyt bezpłatny i wolny dla wszystkich (również nieczłonków Kl. H. W. N.).

PRZEZ MIKROFON.

W dniu 7 grudnia b. r. o godz. 17 m. 50 rozgłośnia warszawska Polskiego Radja nada pogadankę myśliwską p. Jerzego Dylewskiego p. t. „O niedźwiedziu", którą wypowie autor.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dnia 21 listopada b. r. odbyło się polowanie w Jabłonnie u Maurycego hr. Potockiego.

Z powodu śnieżnej okiści rezultat nie dociągnął przewidywanej ilości ubitej zwierzyny, gdyż nawet trzeba było w trakcie dnia zmienić przygotowany plan polowania.

Ubito razem: 274 bażanty i 40 zajęcy.

Z powyższego rozkładu gospodarz przeznaczył na zimową pomoc dla bezrobotnych i przekazał powiatowemu Komitetowi na ręce przewodniczącego p. Starosty pow. warszawskiego 100 sztuk bażantów oraz 30 zajęcy.

— Dnia 9 listopada odbyło się w Czaryżu u pp. Tadeuszostwa Sieniawskich polowanie w 9 strzelb.

W dwóch ławach leśnych i kilku pędzeniach ubito: zajęcy 478, bażantów 536, królików 301, kuropatw 57, różnych 4; razem 1376 sztuk.

Nazajutrz w 8 strzelb w przeciągu 3 godzin opolowano park i kilka pędzeń w pobliskich zagajnikach, przyczem ubito: zajęcy 34, bażantów 190, królików 114 i kuropatw 7; razem 345 sztuk.

— U p. Zygmunta Frycza w Probołowicach pow. pińczowskiego odbyło się doroczne polowanie dn. 9.XI przy udziale 8-miu strzelb. Podniesiono ogółem 508 sztuk zwierzyny, w tem 301 szt. zajęcy, 180 bażantów, 24 kuropatwy i 3 różne. Najwięcej na rozkładzie miał p. Andrzej Wesołowski ze Złotej (90 sztuk).

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa